



wiosna 1941

Ida Fink



w
ab

Ida Fink urodziła się w Zbarażu w 1921 roku. W 1942 roku uciekła z getta i ukrywała się do końca wojny. Od 1957 mieszka w Izraelu. Opublikowała m.in. powieść *Podróż*, wydaną po raz pierwszy w 1990 roku, oraz zbiory opowiadań *Skrówek czasu* (1976) i *Ślady* (1996). W roku 2003 nakładem W.A.B. ukazał się tom jej opowiadań zebranych *Odpływający ogród*. Otrzymała nagrodę im. Anny Frank, nagrodę Buchmanna przyznawaną przez Instytut Yad Vashem, a także nagrodę Premio Moravia, ostatnio zaś – Sapir Prize. Jej nazwisko znalazło się na ogłoszonej przez National Jewish Book Center w Nowym Jorku liście stu najważniejszych autorów żydowskich. W 2003 roku uhonorowano ją Nagrodą Specjalną Polskiego PEN Clubu. W 2002 na podstawie *Podróży* powstał film w reżyserii Pierre'a Koralnika. *Wiosna 1941* Uri Barbasha to film oparty na wybranych opowiadaniach autorki.

wiosna 1941

Ida Fink

Skrawek czasu

Chcę opowiedzieć skrawek czasu mierzowego nie miesiącami, od dawna chciałam opowiedzieć ten czas i nie tak, jak to uczynię teraz, nie tylko jeden jego skrawek. Chciałam, lecz nie mogłam, nie umiałam, bałam się także, że ten drugi czas (ten drugi mierzony już miesiącami i latami), który należał się warstwą lat na tamten, spłaszczył go i zniszczył we mnie, lecz nie, kiedy dziś grzebałam w rumowisku pamięci, odnalazłam świeży i nietknięty zapomnieniem. Ten czas mierzony nie miesiącami, lecz słowem – ktoś mówił „było to w pięknym miesiącu maju”, *im wunderschönen Monat Mai* – mówili „było to po pierwszej akcji” albo po drugiej, albo przed trzecią, inne mieliśmy miary czasu, my inni, zawsze inni, zawsze z piętnem inności, która jednych wbiła w pychę, a drugich w pokorę, my inni, którzy z racji swej inności byliśmy znów skazani, jak niegdyś już w historii, nie

Copyright for this collection © 2001 and 2008 by Ida Fink

Opowiadania pochodzą ze zbiorów:

Skrawek czasu © 1987 by Ida Fink

Notatki do życiorysów © 1996 by Ida Fink

Odpywający ogród © 2001 by Ida Fink

Wydanie I
Warszawa 2009

raz, nie dwa, byliśmy znów skazani w tym czasie mierzonym nie miesiącami, nie wschodem i zachodem słońca, lecz słowem, pojęciem oznaczającym ruch, działanie, terminem stosowanym najczęściej w odniesieniu do literatury – powieści lub dramatu.

Nie wiem, kto pierwszy użył tego słowa, ci, którzy działali, czy też ofiary ich działania, ich akcji, kto stworzył zeń termin techniczny, zastąpił nim pierwszą nazwę – łapanka – nazwę, która z biegiem czasu, z postępowaniem stosowanych środków została zdegradowana (lub wywyższona?), oddzielona od terminu „akcja” granicą rasy. Łapano na roboty. Pierwszą akcją – ten skrawek czasu, o którym chcę opowiedzieć – też nazwaliśmy łapanką, choć nikt nikogo nie łapał i każdy z nas udał się niedobrowolnie wprawdzie, lecz z rozkazu, w poranek piękny i czysty, na rynek małego miasteczka, czworobok zamknięty piętrowymi domami, apteką, sklepami z galanterią i żelazem, obramowany chodnikiem o wielkich, kwadratowych płytach, które czas rozsadził i spekał (nigdzie już potem nie widziałam tak wielkich płyt), a na środku rynku stał magistrat i tam właśnie, przed magistratem, kazano nam ustawić się w szeregi.

„Nam” napisałam niesłusznie, gdyż nie stałam w szeregu, choć posłuszna rozkazowi obwieszonemu poprzedniego wieczoru, wyszłam

z domu po śniadaniu spożytym w sposób normalny, przy normalnie nakrytym stole, w pokoju, którego drzwi prowadziły na ogród w mgłach porannych, suchych, złotawych od wschodzącego słońca.

Jeszcze nie dokonała się w nas przemiana, jeszcze z nawyku żyliśmy w dawnym czasie mierzonym miesiącami i latami, i w ten łagodny, dobry poranek, pełen suchych, złotawych mgieł, odczytaliśmy zdanie „zaciąg na roboty” dosłownie, a ponieważ czytanie między wierszami nieobce jest dojrzałemu człowiekowi, wyobraźnia na miejsce słowa „roboty” podstawiła „obóz pracy”, o którym mówiono, że się buduje w okolicy naszego miasta. Rozkazodawcy znali widocznie doskonale granice naszej – jakże ubogiej – wyobraźni, dlatego też zaoszczędzili sobie pracy, poprzestając na wydaniu pisemnego rozkazu. Jak dalece nie omylili się w przewidywaniu reakcji, dowodzi fakt, że po skończonym śniadaniu, spożytym normalnie, przy normalnie nakrytym stole, starsi w rodzinie postanowili uchylić się od rozkazu z obawy przed ciężką pracą fizyczną, nie zalecając tego młodemu, który – gdyby wykryto ich niesubordynację – nie mogliby zasłonić się wiekiem. Byliśmy w stadium infantyliizmu.

Ten poranek piękny i czysty, który odgrzebuje w rumowiskach mej pamięci, jest wciąż świeży, jego barwy i wonie niezatarłe: mgła złocista i syp-

ka, zawieszona w niej czerwone kule jabłek i cieni nad rzeką wilgotny, o ciepłym zapachu łopianów, i jeszcze sukienka niebieska, którą miałam na sobie, kiedy wyszłam z domu i kiedy przy furtce zawróciłam – wtedy, chyba wtedy przeszłam nagle dzięki instyktowi ze stanu infantylizmu w stan naiwnej jeszcze rozwagi – instyktownie, gdyż nie pomyślałam, dlaczego cofam się od furtki wychodzącej na ulicę i wybieram drogę okrężną, przez sad, nad rzeką, drogę zwaną „tyłami”, bo wiodła zapleczem miasta, instyktownie, gdyż w chwili tej nie wiedziałam jeszcze, że nie stanę na rynku przed magistratem, może chciałam odwlec tę chwilę, a może po prostu dlatego, że lubiłam rzekę.

Po drodze, starannie dobierając płaskie kamki, puszczałam kaczki na wodę, a na mostku, za którym otwierał się widok na miasto, usiadłam na chwilę, spuściłam nogi i dyndając nimi, przyglądałam się swemu odbiciu w wodzie, a także wierzbom rosnącym na brzegu. Wtedy się jeszcze nie bałam i moja siostra też nie – zapomniałam dodać, że szła ze mną moja młodsza siostra i ona też puszczała kaczki na wodę, i dyndała nogami nad rzeką, która nazywa się Gniezna, marna rzeczulka, osiem metrów szerokości – moja siostra też się jeszcze nie bała, dopiero kiedy poszłyśmy dalej ulicą za mostkiem i kiedy zza węgła naróżnego domu skoczył na nas widok rynku, dopiero

wtedy stanęliśmy nagle i już nie zrobiliśmy kroku naprzód.

Widok, jaki otworzył się naszym oczom, nie przedstawiał nic niezwykłego, była to czerń tłumy niby w dzień targowy, ale inaczej, bo tłum targowy jest kolorowy i głośny, gdaczą kury, gęga ją gęsi i jest to tłum ruchliwy, a ten był milczący, może tak wyglądał jak na wiecu jakimś, ale chyba też inaczej, zresztą nie wiem. Wiem, że stanęliśmy nagle i że moja siostra nagle zatrzęsała się, a jej trzęsienie i mnie się udzieliło, powiedziała „uciekajmy” i choć nas nikt nie gonił, a poranek był nadal czysty i spokojny, pobiegliśmy z powrotem na mostek, ale już nie widzieliśmy wierzb ani odbicia w wodzie naszych biegnących postaci, biegliśmy długo, aż wspięliśmy się wysoko na strome zbocze zwane zamkowym, gdyż na szczycie stał stary, zniszczony zamek, i na tym zboczu – ozdobie naszego miasta – usiadliśmy w krzakach, zdyszane i wciąż się trzęsące.

Z tego miejsca widać było nasz dom i nasz ogród, był taki sam jak zawsze, nic się nie zmienił i dom sąsiadów, z którego wyszła sąsiadka i zabrała się do trzepania dywanów. Płask, płask jej trzepaczki dobiegał wyraźnie do naszych uszu.

Siedzieliśmy tam godzinę, może dwie, nie wiem, gdyż właśnie przestał istnieć czas liczony zwykłą miarą, a potem zeszyliśmy strzymym

zobczem w dół, nad rzekę i wróciliśmy do domu, gdzie dowiedzieliśmy się o wszystkim, co zaszło na rynku, i o tym, że zabrano naszego kuzyna Dawida, i o tym, w jaki sposób go zabrano i co miał powiedzieć swojej matce, a to, co miał powiedzieć, napisał raz jeszcze, już w drodze wyrzucił z auta karteczkę, którą chłop przyniósł wieczorem – ale to było później. Najpierw dowiedzieliśmy się, że kobiety wygoniono do domu, kazano zostać samym mężczyznom, i że droga, jaką przebył nasz kuzyn, była odwrotna do naszej, bo nas poraził widok tłumu na rynku, a jego przyciągnął, i to z siłą ogromną, odwrotnie proporcjonalną do siły jego nerwów, tak że sam niejako zgwałcił swój los, sam, sam, sam, i to właśnie kazał powiedzieć swej matce, a potem napisał: „sam jestem winny, przesyłam cię”.

Nigdy nie przypuszczaliśmy, że należy do gatunku Niecierpliwych, których niepokój i niemożność bezruchu skazują na zagładę, nigdy, bo był pulchniutki i okrągły, mało ruchliwy, taki, którego od książki nie oderwiesz, uśmiechający się nieśmiało, dziewczeco. O jego ostatnich godzinach pełną wiedzę przyniósł dopiero koniec wojny – ów chłop, który przyniósł karteczkę, nie śmiał powiedzieć, co widział, a choć o tym, co widział, i inni przebiekali, nikt nie śmiał wierzyć, zwłaszcza że posta-

rano się o dowody innej prawdy – dozowano je oszczędnie, z umiarem – której każdy z nas skwapliwie się chwycił, kamuflaż doprowadzony do perfekcji, tyle trudu sobie wówczas zadawali, tyle pozorów stwarzali, że dopiero czas, czas mierzony nie miesiącami i latami, stworzył oczy i przekonał.

Nasz kuzyn Dawid wyszedł z domu później od nas i kiedy doszedł do rynku, wiadome już było – nie wszystkim, co prawda, ale tak zwanej Radzie, z biegiem czasu przekształconej w machinę Judenratu – że słowa „zaciąg na roboty” nie mają nic wspólnego z obozem pracy. Pewien przyjaciel, człowiek starszy i przewidujący, kazał chłopcu na wszelki wypadek schować się, a że na powrót do domu było już za późno, gdyż obstawiono ulicę, zaprowadził go do swego mieszkania, znajdując się w jednej z kamienic, którymi otoczony był rynek. Nie przewidując, podobnie jak my, że chłopak należy do gatunku Niecierpliwych, którzy z trudem pokonać potrafią samotność i działają pod wpływem impulsu, zostawił go w pokoju zamkniętym na klucz od wewnątrz. To, co przeżył nasz kuzyn zamknięty w pokoju, pozostanie na zawsze w sferze domysłów. Wiele tłumaczy fakt, że okno pokoju wychodziło na rynek, na ów tłum milczący, na twarze bliskie i znajome, i przypuszczają należy, że w pewnej chwili samotność, na jaką

skazywała go kryjówka, wydata się chłopcu trudniejsza do zniesienia niż wielka i groźna niewiadoma po drugiej stronie okna, wiadoma wspólna wszystkim zebranym na rynku. Był to zapewne przeblysk myśli: nie sam, razem ze wszystkimi – wystarczył jeden ruch ręki.

Domysły, że powodem opuszczenia kryjówki była obawa przed rewizją mieszkań, nie wydają mi się słuszne. To niecierpliwość serca, drżenie nerwów, ciężar samotności skazały go na zagładę razem z pierwszymi ofiarami naszego miasta.

Stał w szeregu pomiędzy aplikantem adwokackim a studentem architektury i na pytanie: zawód? – odpowiedział: nauczyciel, mimo że nauczycielem był krótko i tylko z przypadku. Jego sąsiad z prawej również nie skłamał, skłamał natomiast student architektury, podając się za stolarza, i kłamstwo to uratowało mu życie, ściślej mówiąc, odroczyło wyrok śmierci o dwa lata.

Siedemdziesiąt osób załadowano do auta, w ostatniej chwili wywleczono z domu rabina – był siedemdziesiątym i pierwszym.

Podchodząc do aut, deflowali przed szeregiem tych wszystkich, którzy nie zdążyli zapoznać się z rodzajem wykonywanego przez siebie zawodu. Wówczas to nasz kuzyn rzekł głośno: „powiedźcie mamie, że sam sobie jestem winien

i że ją przepraszam”. Przypuszczalnie już wtedy nie wierzył w to, w co wierzyliśmy później wszyscy, a mianowicie, że jada do obozu. Miał zatrważającą ostrość przedśmiertnego widzenia. Chłop, który wieczorem przyniósł karteczkę ze słowami: „jestem sam sobie winien, przepraszam cię”, był mrukiwy i nie patrzył nam w oczy. Mówił, że kartkę znalazł na drodze do Lubianek i że nic więcej nie wie, ale wiedzieliśmy, że wie, tylko nie chcieliśmy przyznać się do tego. Odszedł, ale wrócił po wojnie, by powiedzieć, co widział.

Kartka pisana ręką rabina, która nadeszła dwa dni później, przekonała wszystkich, że więzieni znajdują się w obozie pracy. Po upływie miesiąca, kiedy brak dalszych wiadomości zdołał osłabić nieco wiarę w obóz, nadeszła druga kartka, pisana przez innego z wywiezionych – buchaltera bodajże. Proceder z kartkami urwał się na tym i zastąpiony został składaniem kontrybucji władzom, które dały do zrozumienia, że kilogramy kawy, herbaty, a także złota udostępnią rodzinom więźniów i ich bliskich. W dowód łaski zezwolono również na wysyłkę paczek żywnościowych dla więźniów, którzy – powiadano – pracują w obozie na terenie Rzeszy. I raz jeszcze, już po drugiej akcji, zjawiała się ponownie kartka pisana ołówkiem, trudna do odczytania. Po tej kartce mówiono: „oni się wykańczają”.

Niepotwierdzone wieści natomiast, ludzka, szybka plotka, głosiły o grząskiej ziemi pod lasem we wsi Lubianki i o chusteczce do nosa, znalezionej, splamionej krwią; były to wieści bezpieczeństwa, świadków brakło.

Ów chłop, który wtedy nie śmiał, a przyszedł, kiedy wojna się skończyła, powiedział wszystko. Odbyto się to w tymże wspomnianym przez plotkę lesie, rozległym, niemłodym, osiem kilometrów za miastem, w godzinę po opuszczeniu przez auta rynku. Sama egzekucja trwała krótko, więcej czasu zajęło uprzednie kopanie grobu.

Za pierwszym strzałem nasz kuzyn Dawid, pulchny, okrągły, niezręczny do gimnastyki i sportów, wdrapał się na drzewo, ramionami jak dziecko matkę objął pień i tak zginął.

Alina i jej kłęska

Dwa tygodnie po zajęciu miasta przez Niemców przyjaciel Aliny poprosił ją, by poszła do jego mieszkania i w delikatny, niebudzący podejrzeń sposób wybadła gospodynię, czy Niemcy bądź Ukraińcy nie szukali go oraz – o ile taki fakt zaistniał – czy nie przeprowadzili rewizji w podnajmowanym przez niego pokoju. Przyjaciel Aliny, dziennikarz, był autorem kilku ostrych antyhitlerowskich artykułów.

Była to prośba ciężkiej wagi. Każde wyjście za próg domu stawało się w tych dniach drogą w nieznane, a raczej w nieznana bliżej zgubę, od której, co prawda, nie chroniły również ściany pokoju. Jednakże nawet pozorne odgrodenie się od zewnętrznego świata stwarzało fikcję bezpieczeństwa, co w owych czasach znaczyło niemało.

Alina, usłyszawszy prośbę Antoniego, wstała z tapczanu, na którym oboje leżeli po obiedzie

(od dwóch tygodni jedli kartofle posypane cukrem, kartofle przyniósł Antoni, zapas cukru miała Alina), i podeszła do lustra, by umalować twarz. Wychodziła teraz – a zdarzyło się to dwa lub trzy razy – zawsze bardzo starannie zrobiona, czarna i elegancko. Ta dbałość o wygląd zewnętrzny miała podobno mydlić oczy.

Czerniąc brwi, spostrzegła, że jest bardzo blada i że ręka jej drży.

– Czy to konieczne? – spytała, nie przerywając makijażu. – A jeśli nawet byli?... I tak już tam nie wrócisz, zostaniesz u mnie...

– Nawet bardzo konieczne – odparł Antoni. – Ale skoro nie masz ochoty – (nie powiedział: boisz się) – to nie idź. Karolowa mówiła, że dziś jest spokojnie – dodał jeszcze.

– Coś ty! – zawołała Alina. – Pewnie, że pójdę. Pamiętasz, przedwczoraj byłam u Ireny, poszłam prościutko, spokojniutko... Zaraz będę gotowa.

Była nagle rześka, rozbudzona, wesoła nawet. Nie wiadomo, co na nią tak podziało: uważyła Karolowej czy przypuszczenie Antoniego, że „nie ma ochoty”. W podnieceniu zapomniała, że do Ireny było dwa kroki, podczas gdy mieszkanie Antoniego znajdowało się na drugim krańcu miasta.

Pewnie, że pójdę, myślała, różując policzki. Uspokoi się, kiedy powiem, że go nie szukali, bo pewna jestem, że nikt o niego nie pytał...

Włożyła niebieską sukienkę, słomkowy ciemny kapelusz, rękawiczki.

– Śliczna jesteś – powiedział Antoni i dokończył bez zawiązku: – Ale ja nie mogę tam iść, w dodatku wyglądam nie jak jeden Żyd, ale jak trzech! Jak setki, jak cały tłum!

– Nie przesadzajmy – zawołała wesoło Alina – ani z tą ślicznością, ani z tłumem...

W korytarzu zastąpiła jej drogę adwokata, u której wynajmowała pokój.

– Pani wychodzi? Szaleństwo... Rano było spokojnie, ale właśnie dzwoniła córka...

Alina uśmiechnęła się uprzejmie i szybko zamknęła za sobą drzwi. Było słoneczne, dojrzałe popołudnie. Cień platanów leżał na chodniku, w oknach pachniały kwiaty. Daleko, przy końcu ulicy, dzwonił tramwaj. Początkowo szła lekko i swobodnie, ale na placu, gdzie krzyżowało się kilka linii tramwajowych, spotkała pierwszych przechodniów i poczuła, że sztywniej ją jej mięśnie nóg.

Za dwie godziny będzie po wszystkim, wróci, usiadę na tapczanie i będę opowiadała, jak mi było sztywniały. I szła dalej, nie zwalnając kroku mimo naporu lęku.

Postanowiła całą drogę przebyć piechotą. Oboje z Antonim nie dowierzali teraz tramwajom, poza tym dojechać mogłaby tylko do politechniki, skąd był jeszcze kawał drogi do mieszkania jej przyjaciela.

Miasto było ciche i wymarłe po krwawej burzy, jaka przewaliła się w ostatnich dniach przez jego ulice i domy. Martwy spokój przerażał, cisza groziła zasadzką, drażniła nerwy. Im głębiej brnęła w miasto – odstonięte i nagie, bo niemal bezludne – tym większa ogarniała ją panika.

Szła właściwie wbrew swej woli, pełna wzbierającej złości na Antoniego. Cała ta wyprawa wydała jej się nagle nonsensem, wynikiem przewrażliwionej wyobraźni.

Była bliska płaczu, mówiła sobie, że jest idiotką, skręcała się ze strachu, ale szła.

W ten sposób przebyła połowę drogi i skręciła w szeroką, zadrzewioną ulicę P. Była to ulica, przy której zadomowiło się gestapo, ulica-pojęcie. „Wzięli ich na P.” – mówiono, i to powiedzenie nie wymagało komentarzy.

Omotana strachem, prowadząc w myślach niekończący się dialog z Antonim o bezsensie swojej misji, nie spostrzegła nawet, jaką ulicą idzie.

Nagle stanęła przywożdzona do ziemi. W odległości pięćdziesięciu metrów jezdnię tarasowały ciężarówki. Na chodniku przed budynkiem

kręciło się kilku gestapowców, grupa ludzi znikła właśnie za bramą. Niemcy chodzili tam i z powrotem, ciężarówka odjechała.

– Łapią? – spytała Alina chłopca, który przed chwilą minął Niemców i szedł spokojnie dalej.

– Legitymują, ale nie wszystkich, tylko takich, którzy im się nie podobają. Pani – chłopak spojrzął na nią z uznaniem – nie będą się przecież czepiali...

Na pewno nie, przejdę spokojnie, jak gdyby nigdy nic – postanowiła, ale nie była w stanie zrobić kroku naprzód. Stała zrozpaczona, moczując się sama ze sobą. Znów nadjechała ciężarówka i nowa grupa ludzi znikła za bramą, gestapowcy chodzili po chodniku tam i z powrotem... Długą chwilę stała zrozpaczona, w końcu uległa. Wracała rozbita. Lęk ulotnił się, niczego się teraz nie bała, o niczym nie była zdolna myśleć, tylko o swojej klęsce i o tym, jak stanie przed Antonim i co mu powie. Jej rozpaczał – tak jak przed chwilą lęk – olbrzymia gwałtownie i w pewnej chwili Alina nie była już pewna, czy nie stałoby się lepiej, gdyby ją byli złapali...

Kiedy weszła do pokoju, Antoni zerwał się z tapczanu.

– Byli?!

Niecierpliwość tego pytania, zgłodniałe odpowiedzi spojrzenia odebrały jej resztki sił.

– Nie byłam... – powiedziała, ale on nie dosłyszał, zrozumiał „nie byli” i jego twarz rozjaśniła się.

– Nie byłam tam.

– Nie byłaś? Nie mogłaś się dostać? Znowu niespokojnie?

– Doszłam do P. i dalej już nie mogłam. Przed gestapo legitimacyowali, chciałam przejść, ale nie mogłam.

Antoni zagryzł wargi.

– Dobrze zrobiłaś – powiedział. – Gdyby się nie udało...

– Pójdę jutro.

Była to żalosna próba ratunku.

– Zobaczymy, co będzie jutro... Może pójdziemy razem. Może pójdę sam. Nie martw się, nie myśl o tym...

Wieczór minął w milczeniu. Antoni czytał książkę, Alina gotowała kartofle.

– Udało się pani!

Karolowa, gosposia domu, siedziała pod piecem, zawsze skora do pogawędki.

– Adwokatowa mówiła, że pani poszła na miasto... Rankiem było cicho, ale potem łapali. Na rynku łapali, za mostem łapali. Dobrze, że pani się udało... To pan Antoni zostaje na noc? A gdzie będzie spał? W pani pokoju tylko jedno łóżko...

– Z Karolową będzie spał – odparła Alina wściekła.

Przy kolacji Antoni rozwiódł się szeroko nad architekturą romańskich kościołów we Francji, Alina z trudem łykała słodkie kartofle i myślała, że odtąd nigdy już nie będzie tak, jak było. Właśnie teraz, kiedy powinno być jak najlepiej, jak najbliżej.

Położyła się pierwsza. Antoni długo pluskał się w łazience.

„Wojna wojną, a wstyd wstydem” – usłyszała sentencję Karolowej, wypowiedzianą w kuchni umyślnie donośnym głosem.

– Słyszałaś? – pękał ze śmiechu Antoni. – Złote myśli, zdrowe myśli. Wstydzisz się?

Trzeba było przejść, trzeba było przejść – myślała.

Leżała bez snu, z ratuszowego zegara spała godzina za godziną. Dopiero o świcie usnęła.

We śnie szła ulicą, młody Niemiec zagroził jej drogę i pchnął do bramy, była to brama romańskiego kościoła, a Niemiec miał twarz chłopca, który był pewny, że nie będą się jej czepiać. Złapali mnie – pomyślała z radością i na krótką chwilę snu odczuła ulgę.

Zygmunt

Był rok czterdziesty pierwszy, początek czerwca. W basenie obok parku słońce migotało w chlorowanej wodzie. Pytaliśmy: w jakiej tonacji jest kolor zielony? Było zielono i słonecznie. Rankiem o ósmej chodziliśmy tam rozwiązywać zadania z kontrpunktu i harmonii – już się rozpoczął okres egzaminów – a w teczках oprócz nut i książek były kostiumy kąpielowe.

Chodzili Franka, Rysiek i Ala, którzy zginęli kilka miesięcy później. Franka, z twarzą płaską i szeroką, ze świetnymi nogami, wielbicielka Bacha i jazzu, Rysiek-kompozytor, smukły, delikatny. Ale nie o nich chodzi. Chodzi o Zygmunta, małego, niepozornego chłopca z dalekiej prowincji, trochę aroganckiego, trochę nielubianego. Przychodził czasami do mnie i pani H., u której wynajmowałam pokój, twierdziła, że się we mnie podkochuje. Nie sądzę, żeby to była prawda. Sądzę natomiast, że

Zygmunt gwałtownie szukał przyjaciąni, która z powodu jego oschłego usposobienia wymykała mu się za każdym razem z rąk. Był na studiach o rok wyżej ode mnie, wiadomo było, że dużo pracuje i gra całym dniami. Przygotowywał na egzamin obszerny i trudny program. Obiecywałał nieraz, że wstąpię i posłucham – był żądny pochwał i zachwytów – ale zajęta egzaminami, a zwłaszcza miłością, odkładała odwiedziny z dnia na dzień.

Kiedy przyszłam, była już połowa czerwca, gdzieś po piętnastym. Mówiono o wojnie głośno i z trwogą.

Miał mały pokój urządzony ze smakiem – książki, obrazy, kwiaty – był pedantem o silnie rozwiniętym zmysle estetycznym. Usiadłam na tapczanie i słuchałam trzeciego koncertu Beethovena. Grał bardzo dobrze, z nienaganną techniką długich, giętkich palców – pewnie, mocno. Bez – jak to mówią – serca. Kiedy skończył, powiedziałam mu, że wszystko świetnie „siedzi”. Wydawał się zadowolony.

Kilka dni później była już wojna. W pierwszych dniach poznałam strach przed bombami, dziecinny i śmieszny w porównaniu ze strachem następnych dni – strachem przed ludźmi.

Kryte brezentem ciężarówki pędziły ulicami miasta, uwożąc Żydów w niewiadomym kierunku. Śmierć stała się sprawą dnia powszedniego – mó-

wiono o niej głośno, stojąc w kolejce po chleb, strach – stanem naturalnym. W mieszkaniach rozlegały się pierwsze, elementarne słowa nowego języka – *aufmachen, raus, los*. Ludzie zmienili wygląd – nowy wyraz oczu, inne spojrzenia, inny chód, nowy grymas ust.

Spotkałam Zygmunta. I on wydał mi się zmieniony. Powiedział, że przed trzema tygodniami zabrali go z mieszkania, sądził, że to koniec, ale nie, pracuje za miastem przy niwelacji terenu przeznaczzonego na lotnisko. Odpowiedziałam, że to wyjątkowe szczęście, na co się lekko, dziwnie uśmiechnął. Pożegnaliśmy się szybko. Któż w owych czasach miał cierpliwość do towarzyskich rozmów, do interesowania się cudzym losem! Byliśmy egoistami.

Skręciłam w boczną, mało uczęszczaną, a tym samym bezpieczną uliczkę i wtedy dopiero przypomniałam sobie pewien szczegół w twarzy Zygmunta. Jego twarz była sinawa, pokryta plamami.

W jakiś czas potem znalazłam się w okolicy, gdzie mieszkał. Zmęczona do ostatka szorowaniem podłóg w ratuszu – szczęśliwym finałem ulicznej łapanki – zapragnęłam muzyki.

Wstąpiłam do Zygmunta. Na moje pukanie nikt nie odpowiadał. Zawołałam:

– Otwórz, to ja! – i nacisnęłam klamkę.

W pokoju panował półmrok, franki u okien były zsunięte. Zygmunta leżał na tapczanie. Nie wstał na moje spotkanie ani się nie poruszył. Po-
wiedział stłumionym głosem:

– Wejdz, wejdz... – i nadal leżał nieruchomo, bez słowa.

– Zbudziłam cię?

– Nie spałem.

– Przechodziłam tędy i pomyślałam, że może mi coś zagrasz... Ale nie będę ci przeszkadzała, przyjdę innym razem...

I już zawracałam do drzwi, kiedy on nagłym ruchem zerwał się z tapczana, usiadł przy fortepianie, otworzył klawiaturę i bez chwili namysłu czy skupienia, jakie zazwyczaj poprzedzają grę, w nerwowym pośpiechu, zagrał dwa krótkie pasażę c-moll. Zabrzmiały jak krzyk! Wzdrygnęłam się, zrobiło mi się zimno. Nic oschłego nie było w tej grze, nic sztucznego – to była czysta, przejmująca do głębi serca muzyka. Zapomniałam o wszystkim i słuchałam trzeciego koncertu Beethovena.

Zygmunt skończył pierwszą część, poczekał, aż przebrzmi ostatni dźwięk (był pedantem) – i zamiast, jak tego oczekiwałam, wziąć cichy akord w E-dur, rozpoczynający część drugą, powiedział:

– Wiesz, oni nas tam strasznie biją.

Zrozumiałam dopiero po chwili, nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Oblediał mnie strach.

– Strasznie – powtórzył. – I kopią. Po-
patrz...

Rozchylił koszulę na piersiach. W półmroku niewiele mogłam rozpoznać, przypomniałam sobie jego twarz.

– Więc dlaczego tam chodzisz?

Milczał. Siedział pochylony, rękoma objął głowę.

– Na początku było nas dwudziestu – rzekł po chwili. – Zostało czterem.

– A tamci?

– Tak, tak... Wszystkich...

– Nie chodź tam więcej!

– Spisali nasze adresy, przyjdą po mnie...

– Może nie przyjdą... Nie chodź tam...

– Co dzień rano mówię sobie: nie idź, zaryzykuj... I co dzień tam wracam... Zanim przyszedł, leżałem i myślałem o tym, jak oni będą mnie jutro bili.

– Zygmunta! – krzyknęłam. – Co z tobą?

Opamiętaj się... Tak nie wolno... Ty jesteś chory!

– Wiem, że nie wolno, masz rację... Ale ja nie mogę... Nie potrafię...

– Zygmunta – powiedziałam już cicho i spokojnie. – Zrób coś, broń się, słyszysz? Musisz coś zrobić... Musisz jakoś...

Uśmiechnął się. Wyczułam: to był uśmiech człowieka śmiejącego się wyrozumiale z głupstwem dziecka.

Zygmunt zginął. Nie wiem kiedy, nie wiem gdzie. Nie należał nigdy do grona bliskich mi ludzi i przyznam, że wiadomość o jego śmierci uszłażoną po wojnie przyjęłam z pewnym obojętnym smutkiem. Tyle bliskich, drogich osób było do oplakiwania...

Zamknięty krąg

Ciężarówka minęła ostatnie domy miasta i wjechała na pustą szosę. Asfalt był uszkodzony, rozorany gasienicami czołgów, drzewa przydrożne połamane, zgięte we dwoje. Ale starczyło spojrzeć w bok, przeskoczyć wzrokiem przydrożny rów, by znaleźć się w dawnym, przedwojennym świecie. Na polach i łąkach nic się nie zmieniło. Wschodzące słońce rozświetliło ścierniska, wśród trawy żółto było od jaskrów, a gromady białych stokroci przypominały łachy zapomnianego przez zimę śniegu.

Józef siedział zwrócony twarzą ku polom i łąkom. Widok zieleni i kwiatów podzielał na niespodziewanie – był człowiekiem odpornym na uroki przyrody – niespodziewanie i kojąco. Ogarnęła go nawet po raz pierwszy od niepamiętnych czasów chęć, by położyć się w cieniu drzewa i głęboko oddychać. Była to dziwaczna chęć,

zważywszy, że Józef, z zawodu buchalter, były pracownik wielkiej importowej firmy, dawno przekroczył czterdziestkę i w swoim pracowitym, uporządkowanym życiu nie miał nigdy ataków sentymentalnych zachcianek. Samo skojarzenie jego chudej postaci w ciemnym ubraniu z drzewem gruszy czy jabłoni wymagało nie lada wyobraźni. Była to postać związana z miejskim brukiem i stolikiem kawiarni, jak najbardziej obca ścierniskom i stokrotkom. On sam jednakże zachnąłby się na każdego, kto by uznał jego reakcję za dziwną, przekonany, że od lat tęsknił za zielenią i cieniem drzew, tak jak w tej chwili, gdy (siedząc na walizce i z trudem utrzymując równowagę przy każdym wyboju zniszczonej szosy) uciekał do rodzinnego miasteczka, które opuścił na dobre przed dwudziestu laty i przez te dwadzieścia lat przyjeżdżał tam tylko raz w roku, na święta, do rodziców.

Nikt z podróżnych nie zwracał uwagi na świat za przydrożnym rowem. Mężczyźni grali w karty, a dziewczyna, wsparta plecami o budkę szofera, miała zamknięte oczy. Józef, mimo że nie zamienił z nią ani słowa, wyczuł, że związani są wspólnym losem. Mężczyźni natomiast wracali z podróży, którą można by nazwać handlową, gdyby paczki i skrzynie nie zawierały kradzionego, zrabowanego towaru.

Twarze mężczyzn były obrzmiałe, czerwone – mimo wczesnej pory nie pogardzili alkoholem. Grze w „oko” towarzyszyły głośnie, pijackie okrzyki.

Przed wyjazdem Józef zamienił z jednym z mężczyzn kilka słów, a to wówczas, gdy płacił za podróż do Z. słoną cenę, wielokrotnie przewyższającą opłatę za normalny, kolejowy bilet. Ale nie o tym była mowa. Cena nie podlegała dyskusji, należało nie tylko zapłacić, ale wdzięcznym być jeszcze za możliwość nielegalnego przejazdu. Żydom nie wolno było opuszczać miasta bez przepustek. A przepustek nie wydawano. Mężczyzna, któremu Józef płacił za przejazd – potomek znanej w Z. rodziny złodziejeków i zawadiaków – obrzucił go bacznym spojrzeniem i spytał, czy on aby nie syn tego brodatego, co to miał sklep koło fary, a gdy Józef potwierdził i sam z kolei zapytał, czy u rodziców wszystko w porządku, ten odparł, że owszem, jeszcze żyją. Powiedziawszy to, wyjął z kieszeni flaszkę wódki i zaproponował Józefowi, żeby się napił. Odmowę skwitował głośnym śmiechem: *W Z. teper ja kontrol...*

Józef wdrapał się po drabince, przycupnął na walizce i do chwili, gdy szofer zapuścił motor, nie wierzył, że uda mu się wyjechać z miasta. Zjawienia się dziewczyny nie zauważył. Kiedy ją spostrzegł, siedziała już wsparta o szoferkę i miała

zamknięte oczy. Czarne, drobno kręcone włosy, wypukłość oczu, tak wyraźnie widoczna teraz, gdy opinały je powieki – wykluczały pomyłkę. Ktoś z Z.? – zastanowił się, ale już w następnej chwili przestał o niej myśleć. A raczej: przestał myśleć w ogóle. Ostatnio zdarzało mu się to często – jakies niby zamyślenie, niby odrętwienie, białe plamy w świadomości, bezwład umysłu, któremu nieodmiennie towarzyszył także bezwład fizyczny. Rozpoczynało się przykrym uczuciem zapanowania w głębi (jak nieraz we śnie), po zapadnięciu się przykre uczucie mijało. Wytwarzała się pustka, próżnia, a on, Józef, tracił nagle ciężar i podobny lekkością do piórka zawiślał w próżni, i wcale, ale to wcale nie miał ochoty z niej się wydostać. Do tych swoich zapaści, czy – jak je nazywał – bezwładów, nie miałby żadnych pretensji, gdyby nie zdarzały się najczęściej w porach bardzo niestosownych, to znaczy wówczas, kiedy należało zachowywać się w sposób krańcowo odmienny – myśleć bystro, działać sprawnie. Było więc to zapadanie się w próżnię wielce niebezpieczne. Po raz pierwszy zdarzyło się w jasny dzień, na ulicy zamkniętej zielonym murem mundurów i hełmów. Sytuacja, ponad miarę groźna, nie była jednak beznadziejna: bramy domów stały otworem i najprostszą, choć – jak się okazało – niezbyt skuteczną obroną było ukrycie się w ciemnych wnętrzach klatek

schodowych. Tak też postąpiło wielu przechodniów złapanych w uliczną pułapkę. Tłum przeredził się gwałtownie i na ulicy pozostali tylko ci, dla których okazanie dowodu osobistego nie pociągało za sobą groźnych komplikacji. Wśród jawnego nurtu pozostał i Józef – wbrew pieczęcie w dowodzie osobistym, na przekór własnej twarzy i opasce z białego płótna na ramieniu, na której starannym ścięciem wyszyta była sześcioramienne gwiazda. Wbrew, rzecz można – rozsądkowi. Co prawda, polowanie nie ograniczało się jedynie do ulicy, myśliwi w hełmach przeprowadzili dokładną rewizję schodowych klatek, suterren i podwórzy i w rezultacie złowiono większość ukrytych, których – wraz z Józefem – zapędzono do robót w gmachu będącym od miesiąca siedzibą gestapo. Po zakończeniu pracy – myciu podłóg i wnoszeniu mebli – wolno puszczono tych, którzy myli podłogi na parterze. Wykonujących tę samą czynność na piętrach – zatrzymano na miejscu. W chwili gdy Józef w mokrym ubraniu, z twarzą przeciętą śladami szpicruty, przechodził przez jezdnię, wjechała na dziedziniec pięć ciężarowych aut, a w nich umundurowani w hełmach. Śpiewali melodyjną pieśń. Ich głosy były silne i młodzieńcze, harmonijnie zestrojone.

Józef zdawał sobie sprawę, że osłupienie i chwilowy paraliż, jaki zdarzył mu się podczas

ulicznej łapanki i odtąd powracał od czasu do czasu, nie ma nic wspólnego z tchórzostwem ani z tym, co się potocznie określa mianem tracenia głowy. Była to sprawa bardziej zawiślana, sprawa raczej niż sprawa tajemniczycy sił, o istnieniu których nie miał dotąd pojęcia. Po wypadku z obrazem postanowił poradzić się lekarza.

Obraz, marna reprodukcja Breughla, w złotych, ciężkich ramach, wiszący w jego sublokatorskim pokoju, omalże nie stał się przyczyną nieszczęścia.

Podczas jednej z wizyt, jakie umundurowani w hełmach składali białym opaskom z szescioramienną gwiazdą, zjawił się w pokoju Józefa – sprowadzony przez usłużną dozorcową – osobnik w mundurze i hełmie, który – jak się okazało – był miłośnikiem sztuki. Skłonności te nadały odwiedzinom nieprzewidziany, nienormalny przebieg. Spostrzegłszy porcelanową Ledę z łabędziem, osobnik w mundurze zapomniał chwilowo o celu swej wizyty i ręką w skórzaney rękawiczce wskazał porcelanowy kicz. Józef podał go usłużnie, po czym utworzył szufladę i wyjął z niej kilka podobnych kiczów z porcelany i brązu. Były to nędzne resztki sklepiiku zmarłej ciotki i jedynie przez pamięć o niej Józef nie wyrzucił ich na śmietnik. Osobnik w mundurze rozkazał *einpacken* i Józef, nieposiadający zaświadczenia pracy, rozkaz

ten chętnie wykonał. Wiszący w kącie obraz rzucił się miłośnikowi sztuki w oczy już na odchodnym. Ocenił go fachowym wzrokiem, mrużąc powieki, bez słowa skinął uhelmioną głową. I wtedy, na kilka chwil przed szczęśliwym, niecodziennym finałem odwiedzin, odezwały się w Józefie tajemne, ponure siły. Zapadł się w swoją próżnię, zatracił poczucie czasu i sytuacji i mowy nie było, by ruszył ręką. – *Loos!* – warknęło spod hełmu i jeszcze raz głośniejsz, groźniejsz: – *Loos!!!* – ale i tym razem bez skutku.

Fakt, że Józefowi udało się zbiec z placu przed kościołem Świętej Magdaleny, graniczył z cudem. Wkrótce ruszył stamtąd długi sznur aut krytych brezentem.

Zaniepokojony tym razem do granic paniki siłami, które wiodły go do niechybnej zguby, udał się do znajomego lekarza. Znajomość z lekarzem ograniczała się do cotygodniowej partii szachów w kawiarni, a właściwy tej grze wysiłek umysłu i skupienie raz na zawsze wykluczały rozmowy i pogawędki. Jeśli zdarzało się czasem zakochać partię przed godziną szóstą – kiedy to obaj opuszczali kawiarnię, udając się każdy w swoją stronę – mowa była o ostatnich rozgrywkach wielkich mistrzów lub co ciekawszych końcówkach. Niemniej Józef zaliczał lekarza do swych bliskich znajomych. Miał ich tylko dwóch. Drugim był

pevien adwokat, człowiek muzykalny i przez to Józefowi miły, z którym uczęszczał regularnie na symfoniczne poranki. Józef cenił muzyczną wiedzę tego człowieka, razily go natomiast jego melodramatyczne upodobania. Nie mógł mu, na przykład, wybaczyć uwielbienia dla Verdiego i Pucciniego, którymi jako miłośnik Bacha i Mahlera z lekka gardził, ani też zbyt nachalnego zadomowienia w świecie dźwięków. Wychodząc z sali koncertowej, adwokat zwyczaj podśpiewywał półgłosem słyszany przed chwilą utwór i ta głośna manifestacja bliskich z muzyką stosunków (a także dźwięcznego basu) bardzo Józefa razila. Lekarz-szachista był mu bliższy.

Oczywiście nie brakło i innych znajomości. Były to jednak kontakty przelotne, z góry skazane na wymarcie. Pozostał starym kawalerem.

Lekarza nie było. Dwoje dzieci patrzyło nań przerażonym wzrokiem. Męża zabrali przed tygodniem – powiedziała żona. Nie poprosiła, by usiadł. Nie miał jej tego za złe. Wyszędł. Ulicą marszerował oddział wojska. Żołnierze śpiewali i tym razem, i mieli znów te same, ładnie zestrojone, silne, młode głosy. *Und morgen die ganze Welt...* Zaczął iść w kierunku podmiejskiego osiedla, gdzie mieszkał adwokat, ale nagle przystanął i zawrócił. Zaświtała mu w głowie myśl o koledze z biura – machnął na nią ręką.

Właścicielka mieszkania, u której od lat wynajmował pokój ozdobiony reprodukcją Breughla, czekała w korytarzu. Wystuchał jej, nie wtrącając słowa. Rozumiał poniekąd tę wystraszoną kobietę, która ze względu na własne bezpieczeństwo i spokój domowy wypowiadała mu mieszkanie.

Pod wieczór zwiótkł się z tapczanu i stanął przy oknie. Nad miastem wisiała niebieska mgła, zachodzące słońce migotało wokół storczyka ratuszowej wieży. Stromą ulicą piał się tramwaj. Cisza spadała na place i skwery, na opustoszałe ulice, które znał jak własną kieszeń. Kiedy tak stał, przyglądając się miastu, a poprzez nie życiu, które w nim spędził, usłyszał stłumiony trzask, podobny do odgłosu, jaki wydaje walące się rusztowanie. Być może dwadzieścia lat innego życia, życia obfitego w burze, wzloty i upadki, napęczniałego gwałtownością różnorodnych uczuć, runęłoby z hukiem potężnej eksplozji. Życie Józefa, pedantyczne i uporządkowane jak szuflada, z której wyciągnął porcelanowe kicz, stać było jedynie na ów stłumiony, cichy odgłos.

Oszło imienie, jakie wywołał widok ścielący się po obu stronach szosy (za jego to sprawą wydosłał się Józef ze swojej próżni-odrętwienia).

mięło, pozostawiło jednak w Józefie ziarenko euforii, gotowe w każdej chwili zakiełkować. Okoliczności ku temu raczej nie sprzyjały. Mężczyźni, zakończywszy grę w karty, zabawiali się rozmową na aktualny temat, a czynili to w sposób tak donośny i dosadny, że Józefowi z trudem udało się odgrodzić od podnieconych głosów i rechotliwego śmiechu. Nie mało wysiłku kosztowała go ta dobrowolna głuchota – wzywał na pomoc swoją próżnię, o ironio, teraz – gdy mogłaby się przydać – nadaremnie. A sprawa była wielkiej wagi, choć nieco mglista i o niesprecyzowanych bliżej pobudkach. Chodziło o chwilowe unicestwienie aktualnego tematu, chwilowe, to znaczy na przeciąg nieokreślonego bliżej czasu, który – należy przypomnieć – był czasem podróży. Nie myśleć, nie słyszeć, nie wiedzieć – o to chodziło. Dlaczego? Nie zastanawiał się nad tym i doprawdy, mniejsza o przyczyny. Było ich sporo, a nieposłednią rolę odgrywał tu i ów niedawny trzask rusztowania. Dość powiedzieć, że w miarę przedłużania się relacji na aktualny temat, twarz dziewczyny wspartej o szoferkę traciła barwę – odcień po odcieniu – aż w pewnej chwili stała się przezroczysta, oblicze Józefa natomiast pozostało niewzruszone, pogodnie i spokojne. Co więcej, w miarę jak rosła opowieść – okrutna i bestialska w szczegółach – na przekór niej zakiełkowało ziarenko euforii. Józef stulił war-

gi i zagwizdał. Zagwizdał czysto i wysoko. Nie wiadomo, na co zwrócić w pierwszym rzędzie uwagę: na gwizdany przezeń utwór czy na fakt, że gwizdał po raz pierwszy od zamierzonych czasów. On sam zdziwiłby się wiele, gdyby usłyszał, co gwizdzie. Była to ulubiona przez adwokata, zwulgaryzowana popularnością aria z *Rigoletta*, żaden tam Bach czy Mahler! Ale nie słyszał. Nie słyszał, nie wiedział i dopiero zdumione spojrzenie dziewczyny i nagła cisza uświadomiły mu, że popełnił coś niewłaściwego. Spojrzenie dziewczyny wyrażało zdumienie i niesmak, a ciszę przerwał śmiech mężczyzny i ich wołania: – *Gwyzdaj, gwyzdaj, ne dowho budete gwyzdaty...*

Tak czy owak – postawił na swoim. Intermezzo operowe położyło kres relacji, w ruch poszły znów karty i butelka wódki.

Dziewczyna długą chwilę patrzyła na Józefa, drobne zmarszczki pofalowały jej czoło, głowę wtuliła w ramiona. Wyglądała jak czarny, przestraszony ptak.

Józef sięgnął do kieszeni, wyjął papierośnicę. Nawyk palenia uważał za przyjemność szkodliwą i użyczał jej sobie tylko w chwilach wyjątkowego nastroju, przy szczególnie emocjonującej partii szachów na przykład lub dobrym, „wytrawnym” – zwykł mawiać – koncercie. Papieros miał nieprzyjemny smak, gryźł i drażnił gardło

wysuszone silnym prądem powietrza – smak nie-
zupełnie jednak nowy, już kiedyś zaznany. Przypo-
mniał mu się smak pierwszego w życiu papierosa,
którym poczęstował go ojciec. Jechali trzęsącą
się furką, wiatr dął im w twarz, papieros gryzł
w gardło, dławił. Ujrzał ruch swojej ręki rzucającej
papierosa na zakurzony dziedziniec – powtórzył
go teraz.

Kto wie, czy to na pozór błahe przypomnie-
nie nie spowodowałoby zaniku ziarenka euforii,
gdyby naturalnym biegiem skojarzeń wywołało
dalsze wspomnienia i refleksje. Najbliższe godzi-
ny zdają się na to wskazywać. Ziarenku pisany był
jednak nieco dłuższy żywot...

Auto zjechało z drogi, zatrzymało się pod
pachnącą ścianą lasu. Była godzina obiadowa, męż-
czyźni wydobyli z paczek maczugi kielbas, zapach
czosnku zapanował nad igliwem.

Ach, jak gwałtownie wezbrało ziarenko
euforii! Józef pospiesznie wyskoczył z auta, zanu-
rzył się w las. Nieco mniej zrozumiaily wydaje się
pośpiech dziewczyny, która zerwała się z miejsca
i pobiegła za Józefem. Oboje znikli w zielonym
wnętrzu, wśród polyskujących płam słońca i wybu-
jałych paproci. Kiedy dziewczyna nadbiegła, Józef
leżał już pod drzewem, na miękkim mchu i głę-
boko oddychał. Na jego twarzy błąkał się łagodny
uśmiech.

Dziewczyna, zdyszana jeszcze od biegu,
odezwała się pierwsza, usprawiedliwiając swą
obecność. Nie mogła – mówiła – zostać w aucie
sama z tymi pijakami, którzy cieszą się i radu-
ją... Bała się także, że znów rozpoczną opowieści
o mordowaniu, dlatego tu przybiegła. Jest – po-
wiedziała – u kresu sił, zwłaszcza że wczoraj...

Józef, który dotąd słuchał w milczeniu, sko-
rzytał z przerwy powstałej na skutek załamania
głosu i rzekł łagodnie:

– Nie teraz, proszę pani, nie teraz...

Dziewczyna zmarszczyła brwi i powiedziała
wzgardliwie:

– Można by pomyśleć, że jest pan na ma-
jówce!

– Owszem – odparł Józef – sceneria na ma-
jówkę wymarzona – i ujrzał, jak czoło dziewczy-
ny poodała drobniutko harmonijka zmarszczek,
tych samych, które pojawiły się za przyczyną arii
z *Rigoletta*. Odwrócił wzrok i dodał: – Niech pani
spojrzy dokoła i przyzna mi rację. Co prawda
mamy już wrzesień, więc należałoby powiedzieć
„wrześniówka”. Cieszymy się wrześniówką! Podoba
się pani taki slogan? Bo mnie – bardzo.

Dziewczyna, która nie miała pojęcia o ist-
nieniu ziarenka euforii i jego obyczajach, rzuciła
półgłosem słowo, które w dosadny sposób wyra-
żało jej sąd o leżącym na mchu Józefie. Usłyszał je

– i cóż z tego? Puścił mimo uszu, przepędził w las i ciągnął dalej:

– Tak, tak... cieszymy się wrześniówką, niech mi pani wierzy, to slogan wcale mądry, a mądrości należy się posłuszeństwo. Niech pani usiądzie, dziecińko, za moim przykładem na mchu i zwróci uwagę na niezwykłość powszednich zjawisk, takich, na przykład, jak śpiew ptaków, szum wiatru wśród drzew, zapach igliwia...

Niezniechęcony milczeniem, lekceważąc pogłębiające się fałdy harmonijki, oświadczył, że on, Józef, przez całe życie zbyt luźno utrzymywał związeki z tym, co nazwane zostało przed chwilą scenerią majówki, i że obecnie głęboko nad tym boleje. Czuje bowiem, że jest to źródło siły, które...

– Niech pan przestanie pleść! Na litość boską, niech pan przestanie pleść!!! – krzyknęła dziewczyna i zatkała sobie dłońmi uszy.

Na tak gwałtowny protest Józef zamilkł. Moment ciszy był niefortunny. Z auta doleciało pijackie zawodzenie, belkotliwa pieśń na aktualny temat. Józef skubnął palcami mech i przybliżywszy do oczu puszystą, zieloną poduszeczkę, przypartywał się jej z bacznością. Być może zdołałby ochronić się w bezpieczną zieloną miękkość, gdyby nie dźwięk, jaki usłyszał. Dźwięk, który – nie popełniając wielkiej omyłki – wziął początkowo za

kwilenie ptaka. Dziewczyna płakała z twarzą ukrytą w dłoniach, kołyszac tułowiem jak stare kobiety zdjęte rozpaczą. Odrzucił mech i wyciągnął rękę. Przejawy czułości nie były mu obce. Wykonał ruch, jakim nieraz ukradkiem obdarzał kota swojej gospodyni: przesunął dłoń po twardych, kręconych włosach dziewczyny, przy czym dawne, retoryczne „no co, kiciu, co...” zastąpił słowami prośby: – Nie płacz... no... nie płacz...

Jeszcze raz zawołała: – Pan nie wie, co oni... oni wczoraj...

Ale i tym razem nie dał jej dokończyć: – Wiem – powiedział – wiem... ja wszystkim wiem, dziecińko.

Wtedy naprawdę przestała płakać i jak dziecko poszukała opieki: złożyła głowę na jego piersiach, przytuliła się blisko, rozpaczliwie. I leżeli tak spleceni w zielonym wnętrzu lasu, wśród połyskliwych plam słońca i wybujałych paproci, a jego dłoń wędrowała niestrudzenie po wzburzonym, czarnym morzu jej włosów.

Czuł przy tym bolesny, a miły ucisk w sercu, który o niczym innym nie świadczył, jak o zmianie, która dokonała się w chemicznej substancji ziarenka. Lekkie dotychczas jak bańka mydlana, doznać musiało pewnego szwanku, ranki, przez którą – niby przez otwór w łodzi – wsącał się ów bolesny, ciężki jad.

Wróciwszy do auta, oboje zajęli swoje poprzednie miejsca, z dala od siebie, i to ponownie po zbliżeniu oddalenie Józef przyjął z głęboką ulgą. Siedział teraz twarzą w kierunku jazdy, skupiony, wsłuchany w siebie. Czuł wyraźnie bolesny ciężar uwierającego go w okolicy serca kamyczka. Taką bowiem postać przybrało niefrasobliwe, lekkie jak bańka mydlana ziarenko euforii. Śmiertelnie zranione, wypełnione po brzegi bolesnym jadem – skamieniało. A że i w swym obecnym stanie zachowało dawne, dziwne obyczaje, kamyczek ów – na przekór prawom natury – rozrastał się i powiększał, i w krótkim czasie przemienił się z kamyczka w kamień, który legł Józefowi ciężarrem na piersi.

Zjeżdżali w rozległą dolinę rzeki. Zbliżał się kres podróży i jak to zwykle bywa u schyłku drogi, podróżnych teraz właśnie zmogło zmęczenie. Mężczyźni zapadli w tępą drzemkę, słysząc było tylko brzęk pustych butelek po wódce.

Pod kołami auta zadudnił żelazny most. Józef ocknął się z odrętwienia, spojrzął dokoła. Nastuchiwał.

Drobno, sucho zaturkotała nadjeżdżająca furmanka. Furman wywijał batem, za nim, na siedzeniu moszczonym słomą, siedział mężczy-

zna w ciemnym ubraniu, w sztywnym kapeluszu, a obok niego młody chłopak. Ujrzał nagle z bliska wielki, cebulasty zegarek, usłyszał cichy brzęk zło-tej pokrywki. Po białej tarczy sunęło ramię czasu. Spóźniony się, tato? – usłyszał swój głos. I głos ojca: Gdzie tam się spóźniliśmy, nie bój się, masz całe życie przed sobą...

Przytknął dłoń do serca, taki odczuł ból. Całe życie przed sobą! Zaniósł się ni to westchnieniem, ni to jękiem. Całe życie... Ujrzał oczy ojca pełne ufności i nadziei. I co? – spytał sam siebie i sam sobie odpowiedział: Nic... nic...

Na horyzoncie pojawiło się ciemne, pionowe znamię. Zdumiał się i dopiero po chwili rozpoznał. Był to komin cegielni, która stała daleko za miastem. Ale zdumienie trwało nadal, patrzył na rodzinny krajobraz jak na przyjaciela spotkanego po latach, zmienionego nie do poznania. Jechali wśród płaskich równin, monotonnych, stepowych. Wiodły przez nie wydeptane polne szlaki, białe figury świętych stały na rozstajach. Wrzos pachniał i macierzanka. A kiedy wreszcie w kotlinie, pod zamkowym wzgórzem ukazało się miasteczko, i ono zdumiało go swym zmienionym wyglądem. Wieża kościelna uciekla z pierwszego planu w głąb, za dachy domów, leniwa rzeka płynęła nie na swoim miejscu, a wraz z rzeką i wzgórze zamkowe zmieniło położenie. Zrozumiał. Wracał drogą, którą

jechał jedyny raz w życiu – wyjeżdżał wtedy na naukę do wielkiego miasta. Trzęsącą się furką jechali do najbliższej stacji kolejowej. Tylko jeden jedyny raz tędy jechał, gdyż już na pierwsze wakacje wrócił do domu pociągiem, nową linią kolejową, wybudowaną tegoż roku. Z okien pociągu miasteczko witało przyjezdnych wieżą kościoła, las zwany Czarnym podchodził nieomalże pod samą stację. Komina cegielni i stepowych równin nie było widać.

Odkrycie to poruszyło Józefa do głębi. Słowa „pierwszy”, „ostatni”, „los”, „przeznaczenie” zakolatały w jego znużonej głowie. Nie próbował się bronić. Coś raz na zawsze zostało zakończony, zamykał się jakiś krąg. Formułując tę trudną myśl, użył zaimków „coś”, „jakiś” – bał się słów wielkich, choć teraz bardziej niż kiedykolwiek byłoby na miejscu.

Pojawiły się domki przedmieścia. Auto zjechało na skraj szosy i stanęło. Szofer wyłączył motor. Nie wiadomo, co obudziło mężczyznę, czy nagła cisza, czy przeciągły, nabrzmiały grozą krzyk dziewczyny. Gościńcem przedmieścia ciągnął pochód ludzi strzeżony przez umundurowanych, których ręce były złożone na gotowej do strzału

broni. Józef, głuchy na płacz dziewczyny i podniecone głosy mężczyzn, przywarł do bariery auta i w skupieniu, z uwagą patrzył na własny los.

(Uprzejmość szofera, który usunął się z drogi i zatrzymał auto, okazała się zbyteczna. Umundurowani skierowali pochód w polną drogę wiodącą przez równinny step. Jedynie zamykająca pochód postać w mundurze przystanąła i po chwili namysłu ruszyła w kierunku stojącego na szosie auta.)

Odplywajacy ogród

Zdarzyło się raz, że widziałam odplywajacy ogród, był to ogród sąsiadów, podobnie jak nasz piękny i bujny, w którym – podobnie jak w naszym – rosły owocowe drzewa. Widziałam, jak oddalał się powoli i majestatycznie w niedosiężną dal. Po południu było łagodne i ciepłe, siedziałam z siostrą na stopniach ganku, a przed nami jak na dłoni oba ogrody, Wojciecha i nasz, spojone ze sobą w jeden, gdyż żaden płot ich nie dzielił (płot – mówiono – obcym byłby elementem), tylko aleja porzeczkowa zszywała je równym ścięgiem.

Popołudnie łagodne, słońce leniwe i złote. Wojciech wyszedł na ganek swego domu (także domy były bliźniacze) i zawołał do nas:

– Idziemy zrywać renety!

Było tak, że wszystkie czynności ogrodnicze wykonywano jednocześnie w obu ogrodach, w ten sam dzień koszone trawę, w ten sam dzień

bielono pnie drzew, z nawyku więc zawiadamt nas o zrywaniu jabłek.

Zaraz po jego wołaniu ujrzałyśmy starszą siostrę Wojciecha. Niosła w rękach wielkie wiklinowe kosze, takie, jakie stały u nas na strychu. Siostra Wojciecha nic do nas nie powiedziała, tylko zeszła do ogrodu, postawiła kosze pod największą złotą renetą, po czym wróciła na podwórze po drabinę.

– Wojtek – krzyknęła – przygotuj gazety!

Każde jabłko trzeba najpierw ostrożnie-delikatnie zdjąć z gałązki, potem ostrożnie-delikatnie owinąć papierowym płaszczem, żeby nie zmarzło zimą, potem ostrożnie-delikatnie włożyć do wiklinowego kosza, a jeszcze potem – już na strychu – ostrożnie-delikatnie wyjąć z kosza i ułożyć na podłodze jeden owoc obok drugiego, ale tak, żeby się wzajemnie nie dotykały. Ta delikatna ostrożność czy ostrożna delikatność jest konieczna dla owocu.

Wojciech zniknął z ganku i za chwilę wrócił z paczką gazet pod pachą. I znowu do nas: – Zrywamy renety!

Siedzieliśmy na stopniach ganku, czekając, aż ojciec skończy rozmawiać z panią Kasińską i nas zawezwie. Rozmowa toczyła się w gabinecie, który stał teraz zakurzony i nieużyteczny, chyba że jakiś pacjent zjawił się wieczorem pod osłoną ciemności

z razowcem-zapłątą w koszyku. Od czasu do czasu słysząc było energiczny głos pani Kasińskiej. Głosu ojca w ogóle nie było słyhać. Mówili ze sobą już bardzo długo. Wojciech wszedł na drabinę, jego siostra stanęła pod drzewem i uniosła ramię w górę, jak gdyby szykowała się do kujawiaka albo jakiegoś innego ludowego tańca. Odebrawszy zewnątrz przez Wojciecha owoc, pochylała się nad koszem, po czym prostując się, znów wyciągała w górę ramię. Śledziłam uważnie ten pełen troski i czułości taniec owocobrania. Zależało nam tylko na patrzeniu, a nie żeby słyszeć, co między sobą mówią, ale na to nie było rady. Mówili, co prawda, niegłośno i nie wszystko do nas docierało, czasami jednakże wystarczy jedno lub dwa słowa, a już wiadomo, o co mówićemu chodzi. Puste, mówili. Zielone. Mają rację, mówili. Co będzie zimą, mówili. Mówili, że zjedliśmy wszystkie nasze owoce, gdy były jeszcze zielone, i że robiąc tak, mieliśmy rację, bo kto wie, co będzie z nami zimą. Mówili samą prawdę.

Patrzyłam uważnie, z natężeniem, aż od tego patrzenia rozboleły mnie oczy. Słońce rozpałiło na masztach drzew ogniska. Skąd mogłam wiedzieć, że to sygnał odjazdu?

Ogród Wojciecha, przyjaciela naszego dzieciństwa, drgnął nagle, poruszył się, zakohysał i zaczął wolno odpływać jak wielki, zielony okręt.

Oddalał się powoli, lecz nieustannie, odległość pomiędzy nim a nami zwiększała się gwałtownie, małał, nikt. Odpywał w dal niedosiężną, nie do pokonania.

Zrobiło mi się dziwnie i przykro, gdyż od dzieciństwa przywykłam do jego bliskości i nie wiadomo, co stałoby się za chwilę, gdyby moja siostra nie powiedziała: – Nie mruż tak oczu. Jak mrużysz oczy, zaraz poznać, że jesteś Żydówką.

W ślad za jej słowami wszystko nagle wróciło na miejsce, ogród i drzewa, kosze i drabina, Wojciech i jego siostra. Ale kto by tam wierzył w takie powroty! Nie ja.

Głos ojca wezwał nas do gabinetu, do energicznej pani Kasińskiej, która, po uzgodnieniu zapłaty, obiecała wyrobić nam kenkarty, żebyśmy mogły się ratować, żeby nas nie zabili.

Jan Krzysztof

Pracowaliśmy na Ostbahn, to była dobra praca, bo aufseherką była dziewczyna, która nas znała i którą my znaliśmy dobrze, chodziła niedługo do tej samej szkoły, ładna, czarna, okrągła, z lokami, przedtem spała z urzędnikami starostwa, teraz z Niemcami, ale to była dobra dziewczyna, tylko z nimi spała i nic więcej. No i jeszcze dlatego ta praca była dobra, że plantowanie nasypu nie jest ciężkim zajęciem, a w dodatku odbywało się ono w lesie, w bardzo ładnym lesie, pięć, a może osiem kilometrów za miastem, w ciszy, wśród drzew. A ta aufseherka wcale nie patrzyła, co i jak robimy, siedziała pod drzewem i nudziła się, chętnie byłaby z nami pogadała, ale bała się pewnie, że straci posadę albo że nie wypada, więc tylko wyglądała na taką, co to ma ochotę na pogawędkę. Nie była już ładna jak dawniej, tyła, cerę miała nieczystą. Czasem, podczas obiadowej przerwy, przysiadła się

bliziej i mówiła: „Ładny ten las, prawda?” „Ładny” – odpowiadałyśmy. Była – jak się okazuje – delikatna.

I tego dnia, kiedy w mieście była akcja, nie spytała nawet, czemu nie pracujemy, czemu łopatki i kilofy leżą pod drzewem, nie patrzyła na nas, siedła na skraju polany, odwrócona do nas plecami, a my leżałyśmy w trawie, nikt nic nie mówił, czekałyśmy, aż odezwie się dudnienie pociągu, bo wtedy będzie już wiadomo, że jest po wszystkim, choć nie będzie jeszcze wiadomo, kogo tym pociągiem wiozą, a kto się uratował. Leżałyśmy w trawie, nikt nic nie mówił, tak jak gdyby nasze głosy mogły zagłuszyć dudnienie pociągu, który przejedzie pod lasem niedaleko miejsca naszej pracy. Tylko jedna dziewczyna płakała, wcale nie najmłodsza i właśnie ta, która w mieście nie miała już nikogo, była sama. Płakała cicho, pojękując od czasu do czasu. Nikt jej nie uspokajał. Inna znowu plotła wianki – dookoła rosły duże kępy lesnych dzwonek – ale co uplotła jeden, to targata, a potem znów zaczynała od nowa. Całą polanę oskubała z dzwonek. Jeszcze inna gryzła chleb, powoli, z namysłem żuła go w zębach, a gdy swój zjadła, wzięła sobie bez pytania chleb innej dziewczyny i dalej żuła. Najstarsza przykładała ucho do ziemi.

Bardzo cicho było w tym lesie, żadnych ptaków, za to zapach cudowny od drzew i kwiatów.

Nie było też słyhać nic stamtąd, choćby nie wiem jak natężyć słuch – nie słyhać było nic. Ta cisza była straszna, bo przecież wiedzieliśmy, że tam strzelają i krzyczą, i płaczą, że tam jest rzeźnia. A tu – dzwonki, leszczyna, stokrotki i jeszcze inne kwiaty, bardzo ładne, kolorowe. Tak, to właśnie było takie straszne, równie straszne jak oczekiwanie na dudnienie pociągu, równie straszne jak myślenie, kogo zabrali.

Tylko jedna dziewczyna, chuda i czarna, odłączyła się od gromady i leżała samotnie w cieniu leszczynowych krzaków, leżała na brzuchu i wcale nie nasłuchiwała, tylko czytała książkę. Słyhać było równomierny i łagodny szelest odwracanych kartek, ani razu nie podniosła głowy, nie spojrzęła ku nam. Książka była gruba i podarta, bo kiedy w południe (pociąg wciąż jeszcze nie zadudnił) zerwał się silny wiatr, kilka kartek frunęło w górę, latały nad nami jak gołębice, a ona, chuda i czarna, biegła w kółko i wołała: „Łapcie!” Potem pozbierała kartki, uporządkowała książkę, położyła się na brzuchu, podparła rękoma głowę i znów czytała.

Ta, która płakała, szlochała teraz głośniej, wszystkie zresztą wiedzieliśmy, że każda chwila przybliżyła nas do dudnienia pociągu i że zaraz usłyszymy śmierć jadącą po szynach. Jedna zawołała nawet: „Mamo!”, i jeszcze kilka głosów zawołało „mamo”, bo w lesie było echo.

Aufseherka skończyła obrębiać chusteczkę, odrzuciła w krzaki puste pudełko po papierosach, wstała i przechadzała się tam i z powrotem. Raz zatrzymała się nad chudą i czarną dziewczyną, jasne było, że chce ją o coś spytać, ale nie śmiała wydać, bo zaraz odeszła, podśpiewując sobie bardzo cicho i wciąż spoglądając na zegarek. Kiedy jednak po raz drugi znalazła się w pobliżu czytającej dziewczyny, nie wytrzymała:

– A co ty czytasz? – spytała.

Dziewczyna z widocznym wysiłkiem odebrała się od książki, spojrzęła na pytającą.

– *Jana Krzysztofa*.

– *Jan Krzysztof*? – zdziwiła się aufseherka – tylko *Jan Krzysztof* i nic więcej?

– *Jan Krzysztof* – powtórzyła dziewczyna.

– Ładne to?

Tamta skinęła głową.

– O miłości?

Dziewczyna zastanowiła się (była bardzo chuda i brzydka, zamiast bluzki nosiła męską marynarkę) i odpowiedziała poważnie:

– Także i o miłości.

– O miłości! – roześmiała się aufseherka. Może dlatego się śmiała, bo lubiła miłość. – Pożyczysz mi potem?

– Czemu nie – odrzekła tamta. – Dam ci, na zawsze.

– Nie, nie na zawsze, pożyczysz, oddam. – Zamyśliła się na chwilę. – Chyba ładna, skoro czytasz cały dzień, i to właśnie dziś, kiedy waszych biorą.

– Muszę się spieszyć – odpowiedziała dziewczyna. – Chcę zdążyć. Jest jeszcze jeden tom, boję się, że nie zdążę.

Przyjrzała się książce, oszacowała ilość stron pozostających do przeczytania.

– Boję się, że nie zdążę – powiedziała jeszcze raz, już tylko do siebie, ale aufseherka dosłyszała i słowa te przekonały ją do reszty.

– Musi być bardzo ładne. Jak on się nazywa? Zapomniałam... Jan Krzysztof – powtórzyła sobie kilka razy, usprawiedliwiając się zresztą. – Bo jakbyś nie mogła mi pożyczyć, poszukam w bibliotece. – Potem zrobiło się jej przykro, więc dodała: – Ale zdążysz, na pewno, taka gruba znówu nie jest.

Ta, która płakała, zaczęła płakać na głos, to nie był nawet płacz, tylko zawodzenie. Najstarsza ukłękła, przyklądając do ziemi ucho. Ale ziemia wciąż jeszcze milczała.

Wariat

...oni wszyscy mają mnie za wariata, a ja nie jestem wariat. Tak mówi każdy, który ma źle w głowie, ale moja głowa jest zdrowa. Bóg by dał, żeby była chora! Chore jest moje serce, ale na to nie ma rady.

Mam krzywe nogi – pan widzi – i garb. Wzrost: metr pięćdziesiąt. Moja twarz jest taka, że wszystkie dzieci się jej boją, ale moje dzieci to były dobre dzieci i co dzień rano, co dzień wieczorem całowały mnie w oba policzki i mówiły: dzień dobry, tato, dobranoc, tato.

Może pan doktor słyszał, że takim brzydkiem ludziom rodzą się piękne dzieci? Słyszał pan? Moje dzieci były piękne. Miały jasne włosy – sam jedwab! A nogi proste, tłusciutkie jak serdelki. I ja, i moja żona, która była tylko dobrą kobietą, mogliśmy tak: Bóg sprawiedliwy, dał dzieciom to, czego my nie mamy ani za pół grosza... Troje ich

było, i same dziewczynki. Najstarsza siedem lat, ostatnia – trzy.

Jestem śmieciarz! Zamiatalem ulice, bylo co zamiatac, i to byl ciężki chleb, panie doktorze, ten smród wdychiwac. Domyć się potem w łaźni nie mogłem. W tej łaźni. Moja najstarsza poszła już do szkoły i świadectwo przyniosła od góry do dołu same celujące. W szkole wołali czasem: twój tato śmieciarz, ale ona... złote serce... Takie dziecko... no, panie doktorze, można zrozumieć? Nie można.

Zamiatalem potem w getcie, ale to już się tylko nazywało, że zamiatam. Szkodziło komu to śmiecie? Miałem miotłę i z tą miotłą chodziłem. Dzieci były głodne i jak tak chodziłem, to się czasami coś znalazło na... pan wie... Czasami ktoś dał.

Młodsze nie rozumiały, ale starsza... ho, ho... złote dziecko. Tak samo co dzień dzień do bry, co wieczór dobranoc. Mówiłem jej: śpij spokojnie. Spokojnie...

Jak była pierwsza akcja, to mówili, że mnie wezmą, bo brali kaleki, a ja mam garb i jestem ka-
rzeł. Schowałem się na dach.

Panie doktorze! Jak była druga akcja, tośmy uciekli do lasu.

Jak była trzecia, to ja chodziłem z miotłą po ulicy, bo pracę zaczynałem o piątej rano, a akcja zaczęła się o piątej trzydzieści.

Pan wie, jakie to są miotły? Z wikliny, długie, gęste. I pan widzi, ile mam wzrostu? Metr pięćdziesiąt.

Jak auta zajechały na plac przed łaźnią, to ja kucałem w kąt między dwa domy i miotła mnie zakryła. Nikt, ani SS, ani Ordnungsdienst nie pomyśleli, że tam jest człowiek, bo tam stała miotła. Trząsałem się tak, że ta miotła się chwiała. Słyszałem wszystko, bo zamykali ich w łaźni, a dopiero potem ładowali na auta. Mówiłem: daj Boże, daj Boże. Sam nie wiedziałem, co ten Bóg miał dać. Albo ja wiedziałem, czy ten Bóg jest? Skąd...

Pan wie... ktoś biegł, uciekał i ręką trącił miotłę. Ona upadła i teraz gdyby ktoś spojrział w kąt, to byłby mój koniec. Bałem się ją podnieść, bo już prowadzili ich do aut.

Panie doktorze! Na pierwszym aucie stały moje dzieci, moje trzy... Wiedziałem, że starsza wie, ale że tamte płaczą ze zwykłego strachu. Nagle przestały płakać i najmłodsza – trzy latka! – zaczęła wołać: Tato, tato, chodź do nas!

Widziały. One jedne odkryły mnie w tym kącie. Tylko ich oczy. Panie doktorze! – no i co? Ojciec... wyszedłem, pobiegłem do nich i razem... tak?

A ja przyłożyłem palec do ust, zagryziłem go ze strachu i trząsałem głową, że nie wolno wołać, żeby były cicho – sza!

Dwie młodsze jeszcze raz zawołały, ale tamta, moja pierwsza, zakryła im usta dłonią. Potem już były cicho...

Niech mi pan da teraz to zaświadczenie, że ja nie jestem wariat, bo wyrzucą mnie z pracy i zamkną w szpitalu.

Albo... niech mi pan da lekarstwo – takie, żebym nie musiał się chować i krzyczeć: Idę! Ja idę!... bo one tego już i tak nie słyszą.

Aryjskie papiery

Dziewczyna przyszła pierwsza i usiadła w głębi sali, koło bufetu. Głośne rozmowy, brzęk kieliszków i krzyki w kuchni grały w uszach męczącym szumem, musiała na chwilę przymknąć oczy. Wtedy wydało jej się, że jest nad morzem. Dym wisiał w powietrzu gęstą mgłą i snuł się pasmami w kierunku warzącego wentylatora. Siedzieli tu przeważnie mężczyźni i na ogół pili wódkę. Dziewczyna zamówiła herbatę, ale kelner nienawykły do tego rodzaju trunków przyniósł piwo. Było słodkie i pachniało stęchłą beczką. Upiła łyk, biała piana siała jej na wargach. Starła ją szybko wierzchem dłoni – w zdenerwowaniu zapomniiała chusteczki.

– Może nie przyjdzie – pomyślała z ulgą, ale zaraz przeleżała się, bo gdyby nie przyszedł, wszystko byłoby skończone. Potem zaczęła się bać, że ktoś ją pozna, i najchętniej byłaby się schowała za kotarę osłaniającą drzwi toalety.

Kiedy wszedł, nogi jej zadrzały, musiała silnie wesprzeć się obcasami o podłogę.

– Jesteś już, to dobrze – powiedział mąż – czyzna i zdjął płaszcz.

– Setka! – zawołał w stronę bufetu – tylko szybko!

Był wysoki, dobrze zbudowany, o ogorzalej twarzy i nieco mięsistych policzkach, ale przystojny. Przekroczył czterdziestkę. Ubranie pierwszorzędnie skrojone, krawat dyskretny w barwach i wzorze. Kiedy wzięł do ręki kieliszek, spostrzegła, że ma brudne paznokcie.

– No i?... – spytał i popatrzył na dziewczynę, która w granatowym, prostym płaszczu wyglądała jak dziecko.

Jej oczy były czarne, w gęstej oprawie brwi i rzęs, piękne oczy. Przelknęła ślinę i powiedziała: – Dobrze.

– No widzisz – roześmiał się – tak to rozumie. I wilk syty, i owca cała. Było o co robić ceregiele! Miałaś już wszystko zatławione.

Siedział zwrócony do niej bokiem i patrzył spod oka, ukosem.

– Może coś zjesz? Tu jest podle, ale sama rozumiesz, że do innego lokalu nie mogłem cię zaprosić. Bo w takiej knajpie nawet szpicle są zalani.

– Nie chcę jeść.

– Panna się denerwuje – znów się zaśmiał. Jej nogi wciąż drgały jak po długim marszu, nie mogła ich uspokoić.

– No, zjemy co? Warto oblać...

– Nie.

Bała się, że zemdleje, bo było jej słabo, raz zimno, raz gorąco. Chciała wszystko szybko skończyć.

– Czy pan ma gotowe... przyniosłam pieniądze...

– Co za pan – dziewczyno! Piliśmy już bruderszaft, a ty teraz właśnie mówisz mi pan! Koń by się uśmieł! Mam wszystko gotowe. Murowane. Żadnej lipy – pieczątki, metryka, *alles in Ordnung!* Kelner, płacić!

Wzięła ją pod rękę, a ona pomyślała, że byłoby nawet dobrze mieć kogoś, kto by ją tak prowadził. Byleby nie ten.

Ulica była pusta i ciemna, dopiero kiedy doszli do rynku, latarnie rozwidniły zmrok i pokazali się przechodnie. Myślała, że wsiądą do tramwaju, byłoby szybciej, ale minęli przystanek i poszli dalej piechotą.

– Ile masz lat, szesnaście, co?

– Szesnaście.

– Jak na szesnaście, jesteś stanowczo za chuda i za niska. Ale ja lubię chude, nie lubię u kobiet tłuścuzu. Zaraz mi się spodobałaś, jak tylko

przyszłaś do pracy. I zaraz wiedziałem, coś ty za jedna. Kto wam robił takie papiery? Partacka robota. Na te moje – możesz jak w ogień. Nawet z twoimi oczami. Ile im matka dała?

- Komu?
- Tym facetom, co was szantażują.
- Dała pierścionek.
- Duży?
- Nie wiem.
- Karat? Dwa?
- Nie wiem. Ładny był. Babki.
- Aha, babki. Pewnie duży kamień. Szkoda.

No widzisz, od razu zobaczyłem, że masz smartwienię, tylko nie wiedziałem, że przyznasz się tak z miejsca. Bądź co bądź... Dobrze, że na mnie trafiłaś, idę ludziom na rękę. Każdy chce żyć. A czemu od razu się przyznałaś?

- Było mi wszystko jedno.
- Gadanie! Wiedziałaś, że mi się podobasz – co?

– Może. Nie wiem.

– A czemu twoja matka wydała z rąk papiery?

– Powiedzieli, że chcą coś sprawdzić, i zabrali.

– I powiedzieli, że jak dostaną forszę, to zwrócą. Tak? – zaśmiał się. – To byli ciągle ci sami, co do was przychodzili?

– Tak.

– No pewnie. Jak się da pierwszy raz, to potem ciągną. Pewnie dobrze się obłowili. Jaki dali termin?

– Pojutrze. Ale my już naprawdę nie mamy pieniędzy. Te dla pana to ostatnie...

Wprowadził ją do bramy, weszli na trzecie piętro. Schody były brudne, pachniały siuskami.

– To znaczy, że jutro chcesz jechać – i dała – napiszesz mi adres, przyjadę, wpadłaś mi w oko.

Pokój był czysty, porządnie umeblowany. Patrzyła na białe żelazne łóżko, na którym leżała męska piżama w wiśniowe pasy.

Jak zwymiotuję, myślała, to mnie wypędzi i wszystko na nic.

– Proszę, niech mi pan da te dokumenty, zaraz wyjmę pieniądze – powiedziała głośno.

– Pan... pan... Jak się z kimś idzie do łóżka, to nie ma żadnego pana! Schowaj forszę, mamy czas.

To na pewno nie trwa długo, myślała, nic się nie boję. Mama się ucieszy, kiedy przyniosę papiery. Powinam była to zrobić przed tygodniem. Byłyśmy już w Warszawie. Byłam głupia. On jest nawet miły, zawsze był dobry dla mnie przy pracy, a mógł donieść...

– Nie stój tak, moja mała...

Siedział na łóżku i zdejmował buty, kiedy zdjął spodnie i złożył je starannie na kant, odwróciła głowę.

– Ja... zgaszę światło – powiedziała. Usłyszała jego śmiech i zrobiło się jej bardzo gorąco.

Po godzinie zapukano do drzwi.

– Kto tam? – zakrzyknął z łóżka.

– To ja, mam interes, otwieraj!

– Cholera z interese, w samą porę! A co tam?

– Przez drzwi nie będę gadał. Masz kogo?

– No...

– To ważny interes i trzeba by szybko, bo mogą nam sprzątnąć przed nosa. Szkoda forsy.

– Ubieraj się – powiedział mężczyzna. – Słyszałaś, do mnie ktoś z interese. Chwili spokoju człowiek nie ma! Nie rób takiej pogrzebowej miny, nie ma czego żałować! Fajna babka z ciebie będzie! No, tu masz: metryka, kenkarty...

Liczył zgrabnie, nie śliniąc palców. Ledwo stała na nogach i znów zrobiło się jej niedobrze. Schowała dokumenty do torebki, mężczyzna otworzył drzwi, poklepał ją po ramieniu. Ten drugi, który siedział na schodach, odwrócił się i przyjrzał ciekawie.

– A co to za dziewczyna? – spytał, wchodząc do pokoju.

– A, taka kurwa.

– Myślałem, że dziewczyna – zdziwił się. – Błada, popłakana, chwiejna...

– Albo to dziewczynie nie mogą być kurwami?

– Filozof z ciebie – rzekł tamten i obaj się roześmieli.

Drugi skrawek czasu

Pierwszą akcją, zwaną jeszcze łapanką, dzieli od akcji drugiej, po raz pierwszy nazwanej przez nas prawidłowym terminem, rozległa przestrzeń obydwu czasów – starego i nowego. Botime czas nowy nie od razu wyparł zdomowiony w zwyczajach i myślach czas stary, był to proces powolny i ledwie dostrzegalny, nieubłaganie jednak konsekwentny, który ostatecznie dokonał się po drugiej akcji, zaopatrzonej ponadto w komentarz określający bliżej jej charakter.

Przestrzeń dzieląca obie akcje była po graniczym. Zepchnięci na granicę czasu starego, przesuwalimy się z wolna, centymetr po centymetrze w głąb nowej strefy, po stokroć zawracani z drogi przez złudne nadzieje i pokrętne kalkulacje, dopóki – sami nie wiedząc, jak do tego doszło – znaleźliśmy się w pełnej władzy czasu nowego, obłączeni przezeń definitywnie, a tak przemyślnie,

że w początkowym stadium nikt z nas nie zdawał sobie sprawy ze stanu obłączenia.

Przy ocenie sytuacji stosowaliśmy bezwiednie metodę uproszczeń, nazywając potocznie je zyktem owo spychanie centymetr po centymetrze w kierunku nowej strefy „szykanami”, nie przeczuwając, że dozowanie i stopniowanie centymetrów szukan oswoi nas z nimi, wyhoduje kategorie myślenia i reakcje, które w czasie starym uznano by bez wątpienia za szaleńcze.

Na co dzień zachowaliśmy jeszcze dawne nawyki i obyczaje – jak rozbieranie się do snu, spożywanie posiłków przy wspólnym stole – i tylko dorzuciliśmy do nich nowe. I tak, by posłużyć się przykładem najprostszym, poniechaliśmy stereotypowego powitania czy też zagajania rozmowy słowami: jak się masz? co słycać? lub: ciepło dziś na dworze, i zastąpiliśmy je zwrotami w rodzaju: w T. była akcja, czy w mieście spokojnie? lub: w obozie Reckmanna zabili dwóch chłopców. Po czym częstowaliśmy gości herbatą parzoną z płatków ogrodowej róży lub machorkowymi papierosami, lub też pęcakiem, który stanowił wówczas podstawę pożywienia.

Nasz słownik napeczniał nieznanymi dotychczas wyrazami oraz dziwnymi skrótami przydługich terminów, a słowo „akcja” nabrało rangi słowa naczelnego, dominującego w tym czasie,

jaki niektórzy – popełniając pomyłkę naiwnych – zwykli byli nazywać czasem wojennym.

Przestrzeń pomiędzy pierwszą akcją a drugą była rozległa. Liście opadły z drzew, śnieg sypnął obficie i kra ruszyła na rzece płynącej przez miasto leniwym nurtem, tworzącej wielkie rozlewiska w pobliżu miejskiej łązi, przeznaczonej w noc drugiej akcji po raz pierwszy, lecz nie ostatni, na spichlerz, w którym przed dalszym transportem składowano ludzki plon.

Była to noc ruszania kry. Z hukiem pękał lód, woda szumiała i potężny głos rzeki dobiegający z ogrodu stumił kroki człowieka – ujrzelśmy go nagle, wyrósł na progu balkonowych drzwi zdyszany i drżący, jeszcze nie powiedział słowa, a już odgadliśmy, pojętni uczniowie nowego czasu, że się rozpoczęło. Zdyszany i drżący wsiąkł na powrót w ciemność, by za chwilę wynurzyć się na progu innego domu spod gwiazdy Dawida niczym posłaniec z wieścią „gore”.

Nie wiedzieliśmy jeszcze, że rozpoczęta akcja jest akcją specjalną, zaopatrzoną w komentarz, który ją od poprzedniej i następnych odróżnia, i wszyscy – starsi i młodzi – po krótkich, bezradnych okrzykach wybiegliśmy z domu w ogromny szum rzeki, w zawieszoną ciemność, powierając swój los nagim ogrodowym krzacom.

Bieglśmy gęsiego ścieżką rozmokłą, pod-
szytą wodą, w bełkocie fali i trzaskach lodu, póki
nie osadziło nas w miejscu wołanie. Ktoś wołał:
wracajcie.

Kto wołał? Kto, jakimi słowami zawiada-
miał nas o owym komentarzy i mówił: ona was nie
tyczy, jesteście młodzi i zdrowi na ciele i umyśle.
Nie wiem. Ciemna plama, żadnego obrazu, żadne-
go słowa do chwili, kiedy odnajdę siebie siedzącą
w kuchni, na ławce pod oknem.

Siedzę na ławce, w rękę trzymam kawał
gliniastego chleba, świeczka dogorywa, kobiety
krzyk i zaciśnięte na ramieniu palce.

Akcja starych, chorych i kalek.

Ulga musiała być ogromna, ulga nowego
czasu, ciężar wyroku nagle odjęty – nie pamiętam
tej ulgi, ale świadczy o niej bezspornie moje sie-
dzenie w kuchni z chlebem w rękę, kruszonym,
a nie jedzonym, w świetle wątlej świeczki, jedy-
nym blasku, który rozpraszał mrok.

Był jeszcze jeden błysk – cienki i krótki,
trwający niewiele ponad sekundę, dwie, dosta-
tecznie jednak długo, bym dojrzeć zdołała pal-
ce zaciśnięte na ramieniu okrytym poszarpanym
barchanem i kobiecą twarz. Błysk, poprzedzony
równie cienkim, ostrym ptasim krzykiem, który
nadciągał ulicą, im bliższy, tym bardziej ptasi, nie
z gardła ludzkiego.

Przygłępnęłam do szyby, miałam nadzieję, że
to nocny ptak, rozplaszczyłam na szybie twarz,
zwilgotniałam od potu.

W ślad za krzykiem nadbiegły kroki, naj-
pierw dalekie, potem coraz bliższe, nierówno-
mierne, raz po raz ustające w biegu, tak jakby
biegnący, nabrawszy rozpędu, nagle hamował,
a potem pchnięty siłą, znów ruszał kłusem. To-
warzyszył im nieustanny krzyk, który teraz, kiedy
ucho doń przywykło, nie był już krzykiem ptaka,
tylko żałosnym ludzkim głosem.

Byłby przepłynął okryty ciemnością, bez-
imienny, gdyby nie cienka szpada błysku, która
przecięła noc, reflektorek, biały jak sztuczny ogień.
Zaraz zgasł – ale widziałam.

Najpierw – a wszystko w sekundzie – ujrza-
łam ramię odziane w barchan i palce wpięte w ramię,
mocne, zaciśnięte, a potem (wszystko w sekundzie)
starczą twarz Perli-rybiarki, znanej w miasteczku
wariatki, która za uzbierane żebraniem pieniądze
kupowała ryby i wrzucała je do stawu. Nikt nigdy
nie słyszał jej głosu, była milcząca jak ryba. Ale teraz
wołała. Wołała głośno, że nie chce iść na rozstrzał,
wyraźnie wymawiała to trudne słowo, poprawną
dykcją, zgłoska po zgłosce. W ostatniej chwili ro-
zum jej wrócił i język.

Kiedy wołanie ustało i na powrót zrobiła
się cisza, usiadłam znów na ławce i małymi kęsami

żułam gliniasty chleb, rodzinna porcja na najbliższe dni.

Za oknem zarysowały się kontury świerków i zębata linia płotu. Wyszłam na werandę, otworzyłam drzwi, stanęłam na progu. Powietrze było świeże i wilgotne, szum rzeki zlagodniał, widocznie woda przez noc opadła. Nad uliczką błado połyskiwał świt. Pianie kogutów przerwało ciszę i zaraz potem z głębi uliczki wyłoniły się trzy postaci. Były to trzy kobiety. Dwie młode prowadziły pod rękę siwą staruszkę o malutkiej, trzęsącej się główce. „Już po wszystkim, niech mama prześwieca się bać, mama żyje” – usłyszałam głos jednej z młodych, a druga, odwróciwszy się do mnie, powiedziała:

– Ukryliśmy mamę w kopcu kartofli.

Nazajutrz przeciekiły pierwsze wieści. Pochodziły od polskich kolejarzy, mówili o pociągu złożonym z towarowych wagonów bielonych gąsienicami i wymieniały nazwę miejscowości: Bełzec. Nie słyszeliśmy o niej nigdy. Przywozili na myśl popularną piosenkę, która zaczynała się od słów: „Miasteczko Bełz, kochany mój Bełz”, ale okazało się, że są to dwie różne miejscowości.

Ukryci w ciemnych wnętrzach mieszkań, z twarzami przy szybach zwilgotniałych od deszczu i naszych oddechów, my, ocaleni do następnego razu, patrzyliśmy na skazanych, którzy stali na rynku w miejscu, gdzie w dni jarmarczne rozbija swoją budę wesołe miasteczko. Ustawieni w czwórki, czekali na rozkaz wymarszu.

A deszcz dalej padał, nie ustał ani na chwilę przez całą noc, która przetrwa w pamięci ociałych jako noc starców. Bowiem ci, którzy stali w czwórkach, to byli ludzie starzy i sterani, i wielu z nich z trudem zapewne dotarło do celu, jakim był zielony wąż opodal stacji kolejowej, gdzie dawniej nasze dzieci, a ich wnuki zwykły jeździć na sankach.

Patrzyliśmy także na esesmanów. W długich pelerynach chroniących ich przed deszczem, w wysokich błyszczących butach, przechadzali się

sztywnym krokiem, rozpryskując błoto dokola starców, a jeden z nich, najmłodszy, wciąż biegł na drugi koniec rynku, stawał pod daszkiem nad wejściem do apteki i wypatrywał. To wypatrwanie budziło w nas niepokój, a i na twarzach esesmanów rosło zniecierpliwienie, obojętni pozostali tylko starzy ludzie czekający na rozkaz wymarszu.

Wreszcie, kiedy młody esesman po raz czwarty pobiegł pod daszek apteki i wykrzyknął uradowany coś, czego nie mogliśmy dosłyszeć, a co było, sądząc z jego podniecenia, radosną nowiną – ujrzeliśmy wjeżdżającą na rynek furmankę gminy i leżące na niej łopaty. Ujrzeliśmy także, jak młody esesman dzielił furmana po twarzy, a po zostali okrążyli czarnym pierścieniem ustawionych w czwórki.

Wtedy to (starcy naszego miasteczka ruszyli już w drogę i przechodzili obok swych domów i ukrytych za oknami swoich dzieci i wnuków), wtedy to drzwi jednego z domów otworzyły się i na rynek wybiegła kobieta. Była to chuda kobieta, okryta chustką, niosąca przed sobą wielki ciężarny brzuch. Biegła za odchodzącymi z ręką wzniesioną ku górze gestem pożegnania. Usłyszeliśmy jej głos. Wołała:

– *Saj gesind, tate, tate, saj gesind...*

I wtedy my wszyscy, ukryci w ciemnościach, zaczęliśmy powtarzać: *Sajd gesind*, tymi oto słowy żegnając naszych bliskich idących na śmierć.

Rozmowa

Kiedy wszedł do izby i starannie, długo zamykał drzwi, a potem chodził od okna do stołu (dwa kroki) tam i z powrotem, tam i z powrotem, zrozumiała od razu, że coś się stało, co więcej, odgadła, że ma to związek z Emilią.

Siedziała pod piecem, bo była już zima, więc prawie pół roku minęło, od kiedy Emilia wzięła ich do siebie; nogi wsparła o wiązkę narąbanego przez Michała drzewa i cicho pobrzękiwała drutami. Robiła pończochę z czarnej owczej wełny. Emilia ją tego nauczyła, dawniej nie umiała robić na drutach. Była jej wdzięczna, że potrafiła wypelnić czymś pożytecznym nieużyteczny czas, na jaki ona, Anna, skazana była wyrokiem odosobnienia od świata i ludzi. Początkowo w ogóle była Emili wdzięczna za wszystko i teraz też była jej wdzięczna, ale już w inny sposób, w sposób rozumowy, wykoncypowany, w sposób zimny.

Denerwowały ją kroki męża, jego wysokie obłocone buty, jego kurtka, która była kurtką męża Emilii zaginionego na początku wojny, jego ogorzała twarz, też nie jego właściwie, bo dawniej był błąd, jego słowiańska twarz, całkiem niezwykła w rodzinie śniadych i kruczowłosych.

Więc datego, że ją denerwował, a nie dlatego, by mu pomóc, nie unosząc głowy pochylonej nad drutami, spytała pierwsza:

– Czy to o Emilii?

– Skąd wiesz? Co wiesz?

Gwałtowność, z jaką zapytał, i to, że stanął jak wrośnięty w ziemię, przekonały ją, że nie omyliła się.

– Wiem. Mam bardzo dużo czasu, myślę sobie o różnych rzeczach. Od razu wiedziałam, że tak będzie. Raz jeden stałam w oknie – nie bój się, nikt mnie nie widział – i obserwowałam ją.

– Anno...

– Widziałam, jak patrzy na ciebie... jej ruchy, jej śmiech, to było całkiem wyraźne...

– Nie dla mnie. Nie miałem pojęcia do...

– Dlaczego jesteś tak bardzo wzburzony? Dokończ. Pomówmy spokojnie. Więc nie wiedziałeś do czasu...

– Odłóż druty – powiedział ze złością. – Nie mogę znieść tego brzęczenia. I popatrz na mnie, nie mogę w ten sposób rozmawiać.

– A ja mogę. To brzęczenie mnie uspokaja. To bardzo dobra rzecz, taki cichy, monotonny brzęk drutów. Ja mogę przy tym rozmawiać. Ja mogę wiele rzeczy. Więc nie miałeś pojęcia...

– Anno, dlaczego jesteś taka?

– Więc nie miałeś pojęcia do chwili...

– Gdy mi sama powiedziała.

– Wzruszające! I cóż ci powiedziała?

– Powiedziała, po prostu.

– Że nie może już dłużej, że ciągle jesteście razem, a ona od trzydziestego dziewiątego roku, od kiedy jej mąż nie wrócił z wojny, żyje w samotności, biedaczka. Czy tak?

– Skąd wiesz?

– A widzisz, wiem. Kiedy to było?

– Przed miesiącem.

– Przed miesiącem. I przez cały miesiąc byliście od świtu do nocy razem w polu, razem po drzewo do lasu, razem po zakupy do miasteczka. Wiesz... ty naprawdę masz świetny wygląd, a ona jest bardzo bystra, spostrzegła to zaraz pierwszego wieczoru: „Będziesz pan uchodził za mego kuzyna, z pana wykapany ekonom”. Nigdy nie widziałam w tobie ekonomy, ale to pewnie dlatego, że w ogóle nie widziałam w życiu ekonomów, tylko o nich czytałam. Mnie też trafnie osądziła: „Z pani twarzą – ani kroku za drzwi...”

– Niesprawiedliwa jesteś, Anno, nie-
wzięczna...

– Wiem, wiem. Czy ty z nią...

– Nie.

Stał oparty o ścianę, ogorzały i tak wyso-
ki, że głową niemal sięgał sufitu, w obfoconych
butach, w kurtce męża Emilii. Pachnie powie-
trzem – pomyślała. I jeszcze – zmienił się, nie ten
sam.

– Przestań na chwilę! – krzyknął. – Odłóż tę
pończochę! Odchodzimy stąd. Musimy odejść. Już,
dziś, zaraz!

Wcale nie chciała zaprzestać szermierki
drutami, wypadły jej z rąk mimo woli. Przez jej cia-
ło przebiegło ciche, ledwie dostrzegalne drżenie.
Znała to.

– Odchodzimy? Dlaczego? – spytała nie-
śmiałym, drżącym głosem i zaraz zaczęła dygotać.
Przedtem, zanim Emilia wzięła ich do siebie, za-
wsze tak dygotała. – Dlaczego, Michał?

Nie odpowiedział.

– Michał, Michał, dlaczego? Ona nas wyga-
nia? Dlaczego ona nas wygania?

– Musimy iść, Anno.

– Ależ, Michał, na litość boską, dokąd?
Dokąd? Nie mamy dokąd iść, nie mamy nikogo.
Z moją twarzą... bez pieniędzy... Ja nie potrafię,
przecież wiesz...

– Ja wiem, Anno, ale musimy...

– Pomów, poproś...

Nagle uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.
Przez krótką chwilę zdawało się, że krzyknie, po-
płoch, przerażenie były w jej twarzy, potem rów-
nie nagle spuściła powieki i wyprostowała się. Nie
dygotała już. Siedziała sztywna i w czarnej sukni,
z czarnymi gładko zaczesanymi włosami przypo-
miąta mniszka. Podniosła z podłogi pończochę.
Wprawiła druty w ruch, jej białe ręce zatańczyły
szybko i rytmicznie w takt uderzeń metalowych
paleczek. Zaciśnięta usta w poziomą, siną kreskę.

– Dobrze – powiedziała po chwili.

Nie widziała, nie mogła widzieć, bo głó-
wę miała pochyloną, fali czerwieni, jaka przeszła
przez twarz mężczyzny i pozostawiła ją o odcień
bledszą. Ale słyszała jego głośny oddech.

– Dobrze – powtórzyła. – Możesz jej po-
wiedzieć, że wszystko w porządku.

– Anno...

– Idź już, proszę.

Na odgłos zamykanych drzwi lekko drgnęła,
ale nie odłożyła roboty ani nie podniosła oczu. Sie-
działa sztywna, wyprostowana, druty cicho brzę-
czały. Jej wargi poruszył po chwili bezgłośny szept.
Liczyła oczka.

Pies

Nasz pies nazywał się Czuing. Nazwaliśmy go tak, ponieważ tego dnia, kiedy zjawił się w naszym domu, gazety przyniosły na pierwszej stronie wieści o potyczkach chińsko-japońskich. Po długich naradach – Rex? Lux? Ami? Kajtek? – pozostaliśmy przy chińszczyźnie także dlatego, że szczeniak zezował, co – jak stwierdziła Agata – czyniło go podobnym do Kitajca. Agata Kitajców na oczy nie widziała, porównanie pasowało niczym pięść do nosa, ale sugestia podziałała.

– Rzeczywiście – wołałyśmy – Chińczyk ma skośne oczy i zezuje!

– Chińczycy nie zezują – dociął starszy, bo już czternastoletni kuzynek.

– Ale mogą – zdecydowała moja siostra.

– Kitajec wykapany – przypieczętowała dyskusję Agata.

Czing, zrodzony z matki Santuzzy, raso-
wej foksterierki weterynarza-melomana, wdał się
w swego ojca i już po kilku tygodniach okazało się,
że rośnie z niego uroczy kundel. Po foksterierach
wziął tylko kształt pyska, o czym zapewniał nas
domorośli kynolog, sąsiad-sędzia, i na jego zdanie
powoływałyśmy się później nieraz, kiedy wypro-
wadzałyśmy Czinga na spacer na linewce, a dzieci
wołały za nami:

– Kundel na sznurku!

– Ale ma czaszkę foksteriera – replikowały-
śmy nie bez dumy.

– A tyłek? – pytały dzieci.

Czing umiał służyć, dawać łapę, aporto-
wać. Wszystkie rozkazy spełniał posłusznie, bez
entuzjazmu jednakże czy zapału, raczej ze smut-
ną rezygnacją, jakąś filozoficzną zadumą, którą
pierwsza bodaj zauważyła Agata. Wnosząc pewne-
go dnia półmisek z dymiącymi jeszcze pierogami,
oznajmiła:

– Ten Czing to jakby filozof.

– Jakiego kierunku? – próbował zakpić
oczytany kuzyn.

– Smutnego – odparła rzeczowo Agata.

Pies był smutny, nie ulegało wątpliwości.
Nie uganiał się po ogrodzie, gardził kością do za-
bawy i specjalną piłeczką, którą otrzymał w po-
darunku, nie mówiąc już o kurach czy wróblach,

kręcących się cały dzień po podwórzu. Najczęściej
zastać go można było na tapczanie, na włochatej
i miękkiej gliniańskiej derce. Wodził wzrokiem za
muchą spacerującą po oknie, a na pieszczotliwe
„no co, Czingusiu, coś taki smutny?” zawodził
cichutko, tkliwie, głosem klarnetu.

W wieku dwóch lat przeniósł się na stałe do
służbówki, sypiał z gosposią, dzięki czemu zdobył
nowy przydomek „kochanka Agaty”. Agata kocha-
ła go rzeczywiście. Starszawa, przekwitła w staro-
panieństwie, przelała całe uczucie na zezowatego
Kitajca, nianczyła go jak dziecko, doszło nawet do
tego, że smażąc konfitury, trzymała psa w ramio-
nach, nie zważając na nasze uwagi o higienie.

– Do rondla nie włazi – kwitowała wszel-
kie perswazje, oburzona oschłością naszych serc,
stokroć bardziej gorsząca w jej oczach niż nie-
przestrzeganie czystości. W okresie wojny nasze
zainteresowanie Czingiem oziębło gwałtownie,
prawie że nie zwracaliśmy na psa uwagi i tylko
wieczorem, kiedy kładliśmy się spać, pełne lęku
przed nadchodzącą nocą, mając ubranie i bieli-
znę przygotowane w ten sposób, by je wdziać jak
najszybciej, zjawiała się Agata z Czingiem siedzą-
cym jak dziecko na jej zgiętym ramieniu i mówiła:
Czing, pocałuj na dobranoc. I Czing szczełcał ci-
chutko, ledwo, ledwo merdał ogonkiem, po czym
liział nas w policzki. Były to ceremonie ogromnie

denerwujące – jaka noc mogła być dobra? Kto miał cierpliwość do psa – ale że kuzyna, który umiałby Agacie dociąć, już nie było, bo go zabili podczas pierwszej akcji, znosiliśmy je do czasu, gdy Agata wraz z Czingingiem odeszła na wieś, a my do getta.

Przedtem jednakże Cziling złożył nam dówód wierności swego serca. Był to egzamin, przy którym padło w owych czasach o wiele więcej ludzi niż zwierząt. W przededniu obu przeprowadzek odbyła się w miasteczku akcja, najdłuższa z dotychczasowych, dowodząca niesłychanej wprost rozciągliwości pojęć takich, jak okrucieństwo i beztialstwo.

Ukryliśmy się – siedem osób – w pomieszczeniu służącym niegdyś za chlew, któremu, poza wszelkimi innymi właściwościami schronu, brakło także i drzwi. W przeszłości musiały być nawet solidne, świadczyło o tym łukowate sklepienie nad otworem i wystające żeń haki i gwoździe. Schron bez drzwi jest oczywistym szaleństwem. Niemniej uratował nas wówczas między innymi właśnie brak zamknięcia. Widząc zamknięte drzwi, Niemcy przeszukujący podwórze i zabudowania gospodarskie pchnęliby je bez wątpienia, wydając tym samym wyrok bełżcowej śmierci na siedem osób, które siedziały na resztkach słomy zachowanej z okresu świń. Skoro jednak spostrzegli ziejącą czernią dziurę po wywalonych drzwiach, dziurę

ledwie że zakrytą stertą suchych, bezlistnych gałęzi, ominęli ją z czystym sumieniem, nie podejrzewając istnienia ukrytych wewnątrz osób. Chwila, kiedy w ostrołuku chlewnych wrót ukazała się sylwetka esesmana, a jego ręka niedbale potrząsnęła uschłą latem jabłonką, chwila ta miała przedsmak zawieszenia w życiu, była ziemią niczyją pomiędzy życiem a śmiercią.

To, że Agata na wrzaskliwe pytania odpowiadała uparcie: – *Ne znaju, ne znaju* – było jasne, samo przez się zrozumiałe, oczywiste. Tak czytelnicy, że niedoceniane, jak to często bywa w stosunku do kochających nas wiernie. Ale smutny, łekliwy, już niekochany Cziling-Kitajec?

Odebrali go z rąk Agaty, uprzedzając, by słówkiem się doń nie odzywała, nakarmili kielbasą, którą – wygłodzony – chętnie zjadł, potem zaś łagodnym głosem poprosili, by szukał „pana”.

– Gdzie pan... pani... pan... pani...?

Cziling patrzył na nich spokojnie (Agata przysięgała potem, że głową wykonał przeczący ruch) i ani drgnął. Patrzył w oczy i siedzi na miejscu. A oni kaleczą: – Szuka twoja pan... szuka twoja pani...

Wtedy po raz jedyny w życiu trysła żeń energia, bo nie dość, że rozszczękał się na dobre, ale jeszcze Niemca targnął za tydkę.

Siedząc w chlewie, słyszeliśmy wyraźnie pertraktacje toczące się pomiędzy esesmanami

a psem, z których ten ostatni wyszedł zwycięsko. Oberwał co prawda butem, lecz cios ten zniósł w milczeniu, tylko trząsł się potem do wieczora, podobnie jak człowiek, który po wysiłku przekraczającym siłę jego nerwów długo uspokoić się nie może.

Los Czinga dopełnił się tragicznie. Śmierć miał nieludzką. Nastąpiła rok później, kilka dni po naszej ucieczce z getta, i miała wszelkie cechy okrutnej i powszedniej esesmańskiej śmierci.

Jej chwilą była południowa pora letniego dnia, miejscem – podwórze szwagra Agaty, która opuściwszy nasz dom, zamieszkała na wsi u krewnych. Tam właśnie, siedzącą przed chatą, zastali ją Niemcy, którzy od trzech dni energicznie nas poszukiwali i których do wściekłości doprowadzała niemożność wręczenia nagrody za schwytanie zbiegłej z getta rodziny oraz daremne rewizje w polskich domach jej znajomych i przyjaciół.

Wynik rozmowy z Agatą dopełnił miarkę. Wściekłość, przyprawiona uczuciem nie do strawienia dla Herrenvolku – bezsilnością – musiała znaleźć ujście. W sekundę rozszerzyli ustawy norymberskie, obejmując nimi nie tylko prababki żydowskie, ale i należące do Żydów psy.

– Będziesz wisiał za nich! – krzyknęli i Agata, opowiadając to, krzyknęła także oraz dodała,

że twarze oprawców były czerwone jak piwonie w ogrodzie szwagra.

Musiata przynieść sznur. Grubego nie było, lecz i cienki wystarczył, bo pies był chudy. Kiedy gwizdnęli na niego, podszedł bez oporów, trzęsąc się na ciele, jak to miał w zwyczaju. Powiesili go na czeresniowej gałęzi, po czym odjechali motocyklem, lżejsi o jeszcze jedną śmierć.

Popołudnie na trawie

Siedzieliśmy na trawie, Natalia, Masza i ja, pod czereśnią pełną ciemnych, słodkich owoców, w sadzie ciasnym i zacisznym. W głębi sadu stała chatupa, niewielka, uboga. Jedną izbę w tej chatupie odnajmowali od dwóch miesięcy rodzice Natalii, do której przyszliśmy w odwiedziny.

Ojciec Natalii był głuchy i dlatego w ich dawnym domu, przy głównej ulicy miasteczka, w domu ciemnym, pełnym ciężkich mebli, mówiło się zawsze bardzo głośno. Ale tu, w izbie przy zacisznym sadzie, mimo że głuchota ojca nie uległa zmianie, obie, Natalia i jej matka, mówiły szeptem. Bardzo się zdziwiłam, kiedy usłyszałam murmurando głosów, zazwyczaj donośnych, i zobaczyłam uśmiezek głuchego, zażenowanego roztaczającą się wokół niego ciszą płynącą z ruchliwych warg. Bawił się brelokiem zegarka, przesuwał go w palcach jak różaniec i lekko kiwał głową. Jego twarz

nie straciła dobroduszości, była taka, jaką pamiętałam z czasów, gdy jego bliscy natężali struny głosowe, by udostępnić mu świat zatrzaśnięty głuchotą. Niezwykły był ten szept wokół pograżonego w ciszy, zlekceważonego – obdarowanego niewiedzą.

Matka Natalii pytała szeptem:

– Cicho jest w mieście, powiedzcie, cicho?
On zaś wskazywał na sad i wołał donośnie:

– A jaki ogród tu mamy, jak tu zielono...

Matka Natalii, o ciemnej, zatroskanej twarzy, pchnęła łagodnym, lecz stanowczym ruchem głuchego męża za próg, w głąb chaty, i zamknęła za nim drzwi. Po czym znów spytała:

– Cicho? Naprawdę cicho?...

Natalia siedziała milcząca, z pochyloną głową. Na jej szyi pojawiły się czerwone plamy, takie jak przy maturze, po pisemnym egzaminie z polskiego. Z równo nad czołem przyciętą grzywką i piegami na nosie wciąż jeszcze wyglądała jak mała, grzeczna dziewczynka. Była najcichszą dziewczyną w klasie i dopiero przy maturze zaskoczyła wszystkich wypracowaniem, którego temat brzmiał: „Krajobrazy w literaturze polskiej”. Zdumiony dyrektor-polonista nazwał je doskonałym esejem i, przypatrując się Natalii, jak gdyby widział ją po raz pierwszy, powiedział:

– Powinnaś koniecznie studiować polonistykę...

Szyla Natalii zareagowała na dyrektorskie pochwały czerwonymi plamami, a stojąca obok Masza, najlepsza przyjaciółka, parsknęła śmiechem:

– Pan chyba żartuje, panie dyrektorze? Polonistykę? Jako Żydówka?

Masza była zuchwała i pyskata, całkiem różna od cichej Natalii, która po tym przelotnym triumfie zapisała się w pobliskim uniwersyteckim mieście na kursy kroju. Kroiła równo rok, po roku wybuchła wojna. Ja również wyjechałam do pobliskiego miasta i po roku wróciłam. Jedynie zuchwała i szydercza Masza nigdzie nie wyjechała, bo w domu nie było pieniędzy. Dawała korepetycje.

Siedzieliśmy teraz we trójkę w ciasnym sadzie przy ubogiej chłopskiej chacie, do której przenieśli się rodzice Natalii w nadziei, że przewodzka oddali od nich zgubę – i wszystkie egzaminy, wyjazdy, powroty zostały daleko za nami, w świecie, który przestał istnieć. Dlatego też w pierwszej chwili nie zrozumielałam i także Natalia nie zrozumiała, co Masza ma na myśli, mówiąc, że nam zazdrości.

– Zazdrościć wam tego roku – powiedziała. – Nigdy nie zazdrościłam, dopiero teraz... Teraz zazdrościć...

Matka Natalii ukazała się na progu z talerzem placzków z ciemnej mąki.

– To dla was, jedzcie sobie – powiedziała i jeszcze raz spytała: – Cicho w mieście? Naprawdę?

Natalia spojrzała na nią błagalnym wzrokiem.

– Mamo, proszę cię – po czym, dotykając palcami płonącej szyi, wyjaśniła szeptem: – Mama wciąż pyta, czy w mieście jest cicho. Tak jakby to miało jakieś znaczenie... Nigdy taka nie była...

– Nikt z nas nie jest taki jak dawniej – rozemiała się Masza krótko i hałaśliwie.

Nie znaliśmy u Maszy takiego śmiechu. Placki były twarde i bez smaku, gryzliśmy je z trudem.

– Coś ty powiedziała przed chwilą? – przypomniała sobie Natalia. – Czego nam zazdrościsz?

– Powiedziałam, że zazdrościsz wam tego ostatniego roku przed wojną, kiedy was tu nie było... Tego roku, który spędziłyście same. Nowe miasto, nowi ludzie...

– Nie wiem, co ty sobie wyobrazasz, Maszo... Czy nie mówiłam ci, że nieraz miałam ochotę rzucić to wszystko i wrócić... Kursy kroju... ach, jakie to było nudne... Masz całkiem fałszywe wyobrażenie...

– Ja dobrze wiem, o czym mówię i co sobie wyobrażam – przerwała Masza rozdrażnionym

głosem. – I ona – wskazała na mnie – wie chyba także...

Chciałam powiedzieć, że chyba wiem, ale nie powiedziałam i nie patrzyłam na Maszę, tylko na płaską równinę, nad którą zachodziło słońce. Niebo poczerwieniało, szyby w oknach nabrały koloru słodkich czereśni. Za szybą widniała dobrodusznia twarz ojca Natalii. Dawał nam ręką jakieś znaki.

Drzwi chaty otworzyły się gwałtownie. Matka Natalii tym razem nic do nas nie powiedziała, o nic nie spytała, tylko podbiegła do furtki i oparłszy się łokciami o drewniany parkan, stała długą chwilę zwrócona twarzą w kierunku miasteczka.

– Wydawało mi się, że słyszę jakieś krzyki – rzekła, wracając. – Ale nie, jest cicho.

Blask naftowej lampy rozświetlił wnętrze izby. Ojciec Natalii otworzył okiennice i głośno zawołał:

– A komary wam nie dokuczają, dziewczynki?

– Komary, komary... – ze złością się jego żona – komary mu w głowie...

Masza pochyliła ku mnie swoją płaską, okrągłą jak talerz twarz. Jej oczy szukały moich.

– Opowiadają, że miałaś tam chłopca – to prawda?

- Prawda.
– Opowiedz... czy to naprawdę takie...
piękne?
– Maszo! Jak możesz... – krzyknęła Natalia.
– Czas wracać – powiedziałam i Masza posłusznie wstała.

Natalia odprowadziła nas na szosę. Wieczór był chłodny, nad polami mgła. Wracałyśmy szybkim krokiem. Mały chłopak minął nas biegiem, krzyknął po ukraińsku: – *Żyдиw bijut* – i roześmiał się, zadowolony ze swego żartu.

Miasteczko milczało. Tuż za mostem rozchodziły się nasze drogi i tam Masza stanęła. Jej twarz białała w mroku jak maska.

– Nie gniewaj się... – powiedziała. – Zrozum... po prostu strasznie mi żal, że ja... nigdy... że ja już nigdy...

Skręciłam w naszą uliczkę, biegłam i już z daleka widziałam czarniejące od mroku sosny przed domem, i biegnąc, myślałam: biedna, biedna Masza, a kiedy dopadłam werandy, przytknęłam palec do dzwonka i dzwoniłam na alarm, by jak najszybciej utworzyć szufladę i wyjąć z niej znane na pamięć listy i czytać je, czytać, czytać...

Ślad

Tak, owszem, poznaje. Dlaczegoż by nie miała poznać? To jest ich ostatnie getto. Zdjęcie – kopia amatorskiej fotografii – niewyraźne, poruszone. Dużo bieli – to śnieg. Zdjęcie zrobione zostało w lutym. Śnieg wysoki i kopny. Na pierwszym planie ślady ludzkich kroków, po brzegach dwa rzędy drewnianych bud. To wszystko. Tak. Tu mieszkali. Poznaje te budy, dlaczegoż by nie? To były dawniej stragany jarmarczne, które przerbiono na mieszkania, no, może źle się wyraziła, prostu zabito je deskami. Było tych bud kilkanaście, stały po obu stronach wąskiej, do rynku wiodącej ulicy. W każdej budzie mieszkały trzy, cztery rodziny. Nieszczelne deski nie chroniły przed deszczem i śniegiem.

– Więc to jest getto... – mówi jeszcze raz, pochylając się nad zdjęciem. W jej głosie przebiega zdumienie. – No, tak – dziwi się. – Jak oni tam

wtedy wytrzymali? Takie to... takie... no, trudno powiedzieć... Ale wtedy nikt się nie dziwił.

– Zrobili z nami tak, że nikt się niczemu nie dziwił – mówi głośno, jak gdyby teraz dopiero zrozumiała. Ten, który fotografował, stać musiał obok domu, w którym urzędował Judenrat. To nie była buda, tylko parterowy dom. Trzy okna od frontu, pod dachem strych. Odsuwa ręką zdjęcie. – Wolę sobie nie przypominać...

– Więc w ostatnim stadium getto zawężone zostało do jednej uliczki?

Ano tak. Była to uliczka zwana Mięsną. W tych budach były dawniej jatki i dlatego to ostatnie getto nazywano „gettem na jatkach”. Ilu tam było ludzi? Niedużo. Może osiemdziesiąt. Może mniej.

Znów sięga ręką po zdjęcie, podnosi je do krótkowzrocznych oczu, patrzy długo i mówi:

– Widać jeszcze ślady kroków. – I po chwili: – To bardzo dziwne.

Tędy szli. Od Judenratu, wzdłuż ulicy Mięsnej.

Jeszcze raz patrzy na ślady kroków, śnieg, budy. Ciekawe, kto to fotografował? I kiedy? Chyba zaraz potem. Ślady są wyraźne, a już w południe, jak ich strzelali, sypał śnieg. Ludzi nie ma – ich kroki zostały. To bardzo dziwne.

– Nie od razu wyprowadzili ich w pole. Najpierw na gestapo – dlaczego, nie wiadomo. Taki widać był rozkaz. Stali tam, na dziedzińcu, dopóki nie przywieziono dzieci... – urywa. – Wolę sobie nie przypominać... – Ale nagle zmienia zdanie i prosi, żeby to, co powie, zostało zapisane i uwiecznione, bo chce, żeby pozostał ślad.

– Jakie dzieci? Jaki ślad?

Właśnie po tych dzieciach. A tylko ona może pozostawić ślad, bo tylko ona pozostała przy życiu. Więc opowie o dzieciach, które schowane były na strychu w Judenracie, co było surowo zakazane, za co groziła śmierć, bo wtedy żadne dziecko nie miało już prawa żyć. Było ich ośmioro, najstarsze miało może siedem lat, choć nie wiadomo, jak było naprawdę, bo one – jak je przywieźli – wcale nie wyglądały jak dzieci, tylko jak... ach!...

Pierwsze trzy, natychmiast wstrzymane.

Usłyszeli turkot, na dziedzińcu wjechała furmanka, a na furmance dzieci. Siedziały na śmie, jedno przy drugim. Wyglądały jak małe szare myszki. Przywiózł je jeden eses i ten eses zeskończył z furmanki i bardzo łagodnie powiedział do dzieci:

– No, dzieci kochane, teraz niech każde z was podejdzie do swoich rodziców.

Spis treści

Ale żadne z dzieci nie poruszyło się. Siedziały bez ruchu i patrzyły przed siebie. Wtedy eses wziął pierwsze z brzegu dziecko i powiedział:

– Pokaż, gdzie stoi twoja matka lub ojciec.

Ale dziecko milczało. Więc brał po kolei inne dzieci i krzyczał, żeby pokazały rodziców, ale one wszystkie milczały.

– Więc chciaabym, żeby po nich pozostał ślad.

Spokojnym głosem prosi o małą przerwę. Szklankę wody, którą jej podają, odsuwa z pobłażliwym uśmiechem. Po przerwie opowie, jak ich wszystkich rozstrzelano.

Skrawek czasu	5
Alina i jej kłęska	15
Zygmunt	23
Zamknięty krąg	29
Odplywający ogród	49
Jan Krzysztof	53
Wariat	59
Aryjskie papiery	63
Drugi skrawek czasu	71
***	77
Rozmowa	81
Za żywopłotem	103
Pies	115
Wiosenny poranek	123
Titina	133
Śmierć Carycy	145
Kriminalrat von Cholevinsky	153
Przed lustrem	165
Zabawa w klucz	169
Czarna bestia	175
Popołudnie na trawie	189
Ślad	195